NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM II NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 9

LONDYN WRZESIEŃ 1943

O POTRZEBIE NOWEGO PROGRAMU

Rozwój cywilizacji technicznej w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, przeobraził warunki życia człowieka. Wyprzedził i zaskoczył wiele teoryj, które starały się to życie ująć w systemy poznawcze i społeczne. Dopiero w czasie tej wojny dają się widzieć próby przystosowania się do nowej rzeczywistości i zużytkowania jej dla ogólnego dobra. Znajdujemy je w całym szeregu planów i projektów, głoszone są przez czołowych mężów stanu Anglii i Ameryki, narzucane przez wielu pisarzy i publicystów. Ich cechą zasadniczą w zakresie filozoficznym jest racjonalizm i pragmatyzm, w zakresie społecznym naukowy humanitaryzm, w zakresie politycznym międzynarodowość i powszechność. Dużą rolę gra w nich idealizm pojęty jednak nie metafizycznie, ale oparty na praktyce życia, która dowodzi, że mimo nawrotów i reakcji, nieodzownych w każdym procesie doskonalenia się, ludzkość posuwa się naprzód.

Żadna ze wspomnianych tendencyj nie jest nowa. Wszystkie znane są dziejom myśli ludzkiej. Ale nowe są warunki, okoliczności, wśród których przyszły do głosu, nowe są siły które je ośmielają i nowe są techniczne możliwości ich wykonania. I tu leży zasadnicza różnica z przeszłością.

Tymczasem śledząc zmaganie się myśli polskiej u naszych polityków i mężów stanu, u naszych pisarzy i publicystów, u działaczy wczorajszych i dzisiejszych, u wojskowych i dyplomatów, czytając ich mowy, artykuły i oceniając ich poczynania, dostrzec nam często przychodzi pomieszanie pojęć starych z nowymi, niekonsekwentny i nieszczery stosunek do wizji przyszłego świata, do zmian istotnych i metod nowych jakie się rodzą. Nasza myśl polityczna zgodna jest jedynie w słusznym dążeniu do zdobycia wolności narodu, bezradna jest jednak i nieśmiała wobec przyszłości.

Tak było już raz. Witaliśmy w roku 1918 własne państwo, zdobyliśmy się na wysiłek utrwalenia go, a potem pytaliśmy czym żyć? Wykonaliśmy kilka prób stworzenia ideologii czy filozofii

i eksperyment ten nie udał się. Pojął to zjawisko umysłem i duszą artysty Żeromski i wyłożył je w „Przedwiośniu", ale odpowiedzi dać nie potrafił.

Wiele jest przyczyn tego zjawiska i wiele względów nakazujących sąd rozważny i sprawiedliwy: dzieje nasze, niepewność jutra polskiego, grzechy ogólno-europejskiego życia politycznego, nasza struktura społeczna, gospodarcza, narodowa, nędza i ruina wojen — słowem bóle polskiego życia codziennego, sprawiające że jesteśmy narodem, na który losy walą nieszczęścia jak walą czasem na jednostkę. One tłumaczą również że tak bezkrytycznie rzucono się u nas na wszelkie nowinki, że próbowano wykuć ideologię mesjaniczną, mocarstwową, autarchii państwa, sięgając nawet do prób totalizmu.

Fakty te z życia polskiego spotykają się z oskarżeniem i nie unikną na pewno osądzenia na jakie zasłużyły.

Lecz nie wszystkie względy tłumaczące, a nawet usprawiedliwiające stan rzeczy u nas niezależne były od nas. Niejeden z błędów w nas samych bierze początek, niejeden dałby się osłabić i usunąć, gdyby myśl polska, jak kiedyś w dobie Wiosny Ludów, miała swoje konsekwentne, jednolite oblicze ideowe, gdyby nasza myśl polityczna była i głębsza i szersza.

Już przed wojną stronnictwom polskim brakło świeżości i śmiałego spojrzenia w przyszłość. Widać to było wyraźnie w walce politycznej jaką toczyły, a w której raz po raz wahały się ideowo lub były zdradzane przez własnych ludzi.

Podział na partie i stronnictwa polityczne trwa u nas nadal. Utrzymuje się nadal programy polityczne i społeczne w stanie niewzruszonych dogmatów, tak jak były one wyznawane przed wojną. Cokolwiek sądzimy o tym podziale partyjnym na emigracji i w kraju, czy uznamy go za proporcjonalny i słuszny wobec zmian jakie zaszły w Polsce, czy uznamy go tylko za chwilową i umowną podstawę, konieczną dla organizowania i prowadzenia walki o wolność — to zgodzić się musimy, że podział to przedwojenny, bardzo przedwojenny nawet, bo sięgający jeszcze czasów sprzed pierwszej wojny światowej. W okresie ostatniego dwudziestolecia stronnictwa polityczne polskie nie poddały swych programów rewizji, trwając przy zasadach, które na przełomie obecnego wieku wysunęły. Nie poddały rewizji przede wszystkim swych podstaw filozoficzno-moralnych, nie spojrzały świeżymi oczami na przeszłość narodową, i krytycznie, w myśl wymagań dnia nie oceniły jej, tak jak każde pokolenie ma to obowiązek czynić. Nad własną działalnością nie zastanowiły się. Wygodniej jest występować w imię tradycji partyjnej, aniżeli zrobić obrachunek partyjnego sumienia. Wygodniej jest opierać się na odziedziczonych podstawach, choć myśl świata w innym poszła kierunku i zmieniły się warunki, niż przeprowadzić rewizję i wyrzucić to wszystko co jest już nieaktualne. Odbiegliśmy od czasów, gdy spierano się o programy partyjne.

Choć błędy polityczne naród przekreślił i wykazał, że w sumie jest zdrowy, niepodatny na hasła faszystowskie i totalne, choć hart polski podczas okupacji i na zsyłkach, choć patriotyzm ludu a wreszcie walka jaką prowadzi emigracja dowiodły że Polska otrzymać musi wolność — nasze dyskusje i spory polityczne rozgrywają się wciąż w kręgu starych ambicji i interesów, tak jakby się nic nie zmieniło. Ci którzy pragną kierować narodem, niechże się nad tym zastanowią, gdyż inaczej rozejdą się z nim, tak jak kiedyś rozszedł się z nim obóz majowy Piłsudskiego.

Wiele z twierdzeń, które wiek XIX ogłosił za stałe i niezmienne prawdy społeczne nie wytrzymało próby życia. I tak wiemy dzisiaj że bardziej niż ustrój państwowy, tworzy demokrację wychowanie mas i stopień ich dobrobytu. Wiemy dzisiaj, że niepodległość nie utożsamia się z wolnością. Wyznawane szeroko przekonanie, że wczesny socjalizm był utopijny, zawiodło zwolenników dziejowego materializmu, bo w istocie mniej się ów socjalizm okazał utopijny od marksizmu, który głosił że masy ludowe są z przyrodzenia klasowe, ponadnarodowe, pacyfistyczne. Podniesione kiedyś twierdzenie, że naród nie może być odpowiedzialny ani za przeszłość ani za teraźniejszość, musi być odrzucone jeśli sprawiedliwość ma zapanować, bo widzimy że jak jednostka tak i naród cały, może ulec szałowi zbrodni i zaślepieniu. Atakowano religię i niektóre systemy odrzuciły ją, twierdząc że religia sprzeciwia się postępowi ale te same systemy na miejsce uczuć religijnych wprowadziły fetyszyzm prymitywny i groźny. I ileż zawaliło się w naszych oczach haseł tego rodzaju, ile okazało się w zetknięciu z praktyką życia nierealnymi, mimo że głoszono ich zbawcze własności.

Świat anglosaski krytyczny, racjonalny, empiryczny z tradycji i z natury swojej filozofii, dojrzał względność dogmatów wcześniej od innych. Zwłaszcza sceptyczniej niż w Europie przyjmowała rozmaite twierdzenia społeczne Ameryka. Nieobarczona romantyzmem, bez długiego rozwoju dziejowego ale też i bez wielu kompleksów i przesądów, jakby przeskoczyła ten okres w którym tkwi Europa. Przywykliśmy w Europie, a szczególnie w Polsce traktować myśl amerykańską lekceważąco, jako myśl opartą przede wszystkim na businessie, myśl i filozofię angielską jako daleką od polotu przez swą doświadczalność, dobrą może dla konserwatywnego narodu, lecz nie dla narodów szarpanych trudnościami życia. Filozofia nasza milczała o wielkich dokonaniach pragmatyzmu, o empirii anglosaskiej socjologii, o pismach Russella, Wellsa, Hilla, Angella, Santayany, Deweya, co najwyżej rozprawiając się z nimi w tych punktach, w których dotknęli spraw polskich. Milczenie to sprawiło, że w zakresie teoryj społecznych przewódcy nasi opierali się na dogmatach z połowy XIX wieku, nie traktując ich zresztą krytycznie.

Walka klas podnoszona jest ciągle w naszej publicystyce. Wielu wyznawców socjalizmu (w najszerszym pojęciu tego słowa) wierzy w to hasło i rozwiązanie przyszłych problemów społecznych w Polsce widzi w rewolucji, z jej trybunałami, okresem chaosu i terroru. W ten sposób zamyśla przeprowadzić reformy, nie zwracając na to uwagi, że ze szlachetnej myśli rozwiązania krzywdy wyłania się zaprzeczenie wolności osobistej, prawnej, religijnej, wolności myśli i druku — słowem zaprzeczenie kardynalnych praw człowieka.

Może pojęcie walki klas konieczne było w okresie kapitalizmu XIX wieku, ale nie jest dzisiaj. Powstało w czasie gdy rozwój pojmowano jako walkę o byt, bo istotnie rozwój szedł w kierunku opanowywania sił przyrody. Ewolucjonizm Darwina i Spencera opierał się na naukach przyrodniczych dopiero co ze scholastyki wyzwolonych, widział przeradzanie się rzemiosła w przemysł, widział technikę ułatwiającą życie lecz nie zmieniającą świata. Nie wyobrażano sobie, że człowiek tak dalece zmniejszy przestrzeń, a siły przyrody nagnie do swoich potrzeb tak dalece, iż zapanuje nad nimi. Tymczasem miejsce walki z przyrodą zajęło rozumne

jej użycie, jej tajemnice odsłoniły ją w zakresie naszego rozumu, a wszystko wskazuje że jesteśmy dopiero na początku tej drogi poznawczej. Więc czas zmienić i pojęcie walki o byt na kierowanie bytem, pojęcie walki klas na współdziałanie klas, a pojęcie materializmu dziejowego na industrializm przyszłości. Bliżsi jesteśmy dzisiaj spełnienia zasad chrześcijaństwa niż kiedykolwiek, bo mamy po temu znacznie potężniejsze możliwości. Działać możemy humanitarnie, bo znamy środki których nie znały żadne cywilizacje przeszłości.

Czas sobie zdać sprawę, że humanitaryzm naukowy który nadchodzi, wymaga negatywnego stosunku do rewolucji opartej na heglowskim rytmie. Rewolucja to narzędzie nienawiści burzące a nie budujące, narzędzie prymitywne, nieprecyzyjne, pług płytko orzący rolę. Czas ten dogmat zrewidować bo — powtarzamy — opanowanie przyrody uczy, że możemy losami mas ludzkich kierować bez burzenia i śmierci, że dobrobyt możemy dowolnie podnosić i nie musimy do krwi rozlewu podniecać po to, by każdy miał to co mu się z przyrodzenia należy. Może w okresie Ludwików było konieczne zburzenie Bastylii, może w okresie Mikołajów było nieodzowne zdobycie Zimowego Pałacu, lecz po cóż w permanencji utrzymywać ideę walki, która myśl wyjaławia, osłabia społeczeństwo a przekreśla prawa moralne.

Życie nam pokazało zresztą co warte są reformy dokonane rękami ludzi ciemnych, skrzywdzonych i gniewnych. Historia zmian społecznych uczy, że myśl reform rodziła się u góry i przechodziła w dół. Dlatego stworzyć trzeba technikę życia społecznego, kierowanego wedle zgodnych planów pomocy i sprawiedliwości dla wszystkich, lecz oddawać wykonanie tych planów w ręce skrzywdzonych i nieszczęśliwych, nie znających pojęcia sprawiedliwości, to znaczy tworzyć możliwości nowych a groźnych dyktatur.

Zresztą radykalne reformy społeczne zapewniające podział racjonalny i sprawiedliwy dochodu, są wyznawane dzisiaj przez wszystkie niemal partie polityczne i przestały być monopolem skrajnego radykalizmu.

Nie chcąc być przelicytowanymi, także i ci co zamiast walki klas przyjęli walkę ras, wprowadzili do swego słownika cały zasób haseł gospodarczych, które wczoraj rozlegały się na lewicy, po to tylko by tym łatwiej panować nad jednostką i na mistycznych ołtarzach państwowości krwawe składać ofiary.

Dla obu bowiem prądów pozostaje w mocy suwerenność państwa. W jej imię myślą kategoriami niepodległości, bo wiedzą że niepodległość państwa pozwoli im ograniczać wolność, odrzucić kontrolę. Stąd krzywią się na pojęcie unii, federacji, związków, a natomiast mówią o sojuszach, o tej najgroźniejszej a drapieżnej formie współżycia międzynarodowego. Nie może ich znać świat przyszłości. Sojusze przeciw Niemcom są tyle warte co sojusze zawierane z nimi, bo życie międzynarodowe toczyć się musi po linii jak najgłębiej pojętej współpracy międzynarodowej, po drodze wykonywania praw i traktatów międzynarodowych, czyli po linii ograniczenia suwerenności państwa.

Moralność musi być przywrócona. Doświadczenie tysiącleci wykazuje, że bez moralności w sokratejskim znaczeniu, najlepiej przez chrześcijaństwo skodyfikowanej, że bez tego wielkiego odkrycia i oświecenia umysłu ludzkiego jaką jest etyka prawdy i miłości, miłosierdzia i braterstwa gubi się człowiek w gąszczu

sprzecznych namiętności, sił wzajemnie walczących, ginie we własnej naturze. I zapominać przy tym nie wolno, że dla większości ludzi konieczny jest w etyce irracjonalizm poznania.

Zasady moralne muszą być jedne. Przyjęcie podwójnych zasad moralnych, podwójnej etyki usprawiedliwiającej każde postępowanie korzyścią czy potrzebą musi być potępione i z programów partyj politycznych usunięte. Co do tego punktu nie może być żadnych dwuznaczności ani chytrych przemilczeń. Tu nie ma kompromisów.

Czas wprowadzić rozróżnienia jasne, logiczne, konsekwentne, gdyż bez nich panuje w polskiej myśli politycznej ciągłe zamieszanie pojęć, które emigrację polską wstrzymuje w walce o wolność i sprawia że liczebnie tak znaczna, zasługami kraju tak odznaczona, wśród Zjednoczonych Narodów miejsca należnego nie zajmuje.

O konsekwencję w naszym życiu najtrudniej. Irytujemy się na imperializm obcy, nie chcemy go potępić u siebie. Dopuszczamy pokątnych handlarzy tej idei do głosu i nie widzimy jaką oni przynoszą nam szkodę. Trzymając się dawnego programu jedni drugich straszą walką klas lub ras, wpychają się wzajemnie w kompleksy. Wielu wyśmiewa się z idei federacji i współżycia ludów, przedkładając nad nie sojusze. Międzynarodowość życia jest dla nich niebezpieczna.

Nasze partie polityczne nie zdobyły się dotychczas na ogłoszenie programów politycznych zmienionych pod wpływem nowych warunków życia, rzeczywistości gospodarczej i możliwości technicznych. Nie zdobyły się na programy ogólno-ludzkie dlatego, że liczą na dojście do władzy poprzez pewne klasy i kierowanie innymi, zamiast współdziałania. Nie posiadają wskutek tego dostatecznej czujności ideologicznej i konsekwencji, żyją z dnia na dzień, osłabiając się wzajemnie.

W szczególności dla zwolenników dopuszczenia mas do głosu i rozwiązania krzywd społecznych w Polsce, niezrozumiały i niekonsekwentny wydaje się rozdział jaki zachodzi pomiędzy naszymi stronnictwami robotniczymi a chłopskimi. Różnice ideowe między nimi nie mogą być istotne, jeśli obie strony są zwolennikami podobnych reform, a jednak należyta współpraca między nimi nie istnieje, co gorzej nie ma pomiędzy nimi próby złączenia sił. Jedna strona patrzy na drugą z nieufnością, obie w dążeniu do władzy chciałyby dojść do niej same. Rozumiemy trudności, które wysiłki połączenia muszą wywołać, jednakże już dzisiaj pomiędzy obu tymi stronnictwami ludu powinno się dążyć do wypracowania wspólnego programu, opartego śmiało na humanitaryźmie naukowym i industrializacji.

Linia podziału na ludzi widzących przyszłość bynajmniej nie pokrywa się z ideologią partyj politycznych. W każdej z nich znajdują się ludzie, którzy niehumanitarne metody i idee godzą z przynależnością partyjną, bo programy są u podstaw swoich stare, przestarzałe wobec wypadków jakie zaszły, wobec myśli jaka zrodziła się i jaka się rozwija. Groźne widma przeszłości, niejasna frazeologia, romantyzm i uczuciowość, aluzje niezdrowe, trafiają się często tam gdzie trafiać się nie powinny, przemycając za sobą w konsekwencji idee niedemokratyczne.

Jednym z takich zgubnych frazesów jest często spotykane zdanie, że myśl o wieku obfitości jest nierealna i niemożliwa do wykonania, bo świat w walce o byt rozwija się i posuwa, a prawdy

tej nic rzekomo zmienić nie zdoła; że walka o byt narodów składa się z machiawelizmu dyplomacji, ze zbrojeń i przygotowań wojennego przemysłu, z oszustw wzajemnych i nieszczerych sojuszów; że z kolei ci, którzy się temu przeciwstawiają osłabiają siły narodu i państwa i czujność na wypadki zewnętrzne, że w rezultacie są marzycielami szkodliwymi, zapewne na usługach ciemnych i obcych potęg.

Tym odpowiadamy.

Przeżyliśmy na świecie okres dwudziestolecia, który doprowadził do najkrwawszej i najokrutniejszej wojny. Wiara w równowagę sił doprowadziła do tego że podniosła się i powstała zbrodnia. W pojęciu kasty dyplomatycznej owa równowaga sił usprawiedliwiała wszelkie niemoralne posunięcia, intrygi, pakty ze złą zawierane wolą. Widzieliśmy samolubną politykę izolacji i neutralności, która przed agresją nikogo nie uchroniła. Przeszliśmy przez okres granic celnych i ekonomii ochronnej, o której uczyła nas kasta ekonomistów, że w ten sposób tylko da się uratować dobrobyt narodów. Widzieliśmy jak w imię tych zasad niszczono płody rolne, opuszczano kopalnie i zamykano warsztaty pracy. Przetrwaliśmy w Europie rządy różnych klik militarnych, które zapewniały że zbrojenia dają pokój, szczególnie narodom małym i słabym. Widzieliśmy w Polsce ograniczenia praw politycznych, potrzebne rzekomo w imię silnej władzy. Byliśmy świadkami polityki „realnej" a niemoralnej: pacyfikowania mniejszości, uznań zaborów, paktów o nieagresję, kokietowania faszyzmu, ultimatów i aneksji, a wszystko to czyniono w imię zasad, rzekomo bliskich życiu, a dalekich od doktrynerstwa i mrzonek. Tymczasem świat na takich podstawach budowany zagubił moralność, Europa popadła w stan barbarzyństwa i runęła, a z nią runęła Polska. Pozostawienie wolnej gry imperializmowi było równoznaczne z naszą zagładą.

Dziś przychodzi odrabiać myśli ludzkiej błędy „trzeźwych", „realnych", „zręcznych" polityków, którzy opierali się na doktrynach z czasów Wiedeńskiego Kongresu, którzy w przyszłość patrzeć nie chcieli, a którzy okazali się w rzeczywistości nie mężami stanu ale graczami, jeśli nie iluzjonistami i prestidigitatorami. Dziś świat na opak im, na przekór temu co wmawiali, wraca do programu Wilsona i jego przyjaciół, do owego wyśmiewanego idealizmu, wraca po doświadczeniach jakże krwawych i okrutnych.

Zatrzymajmy się przy sprawach domowych. Polscy wyznawcy „realizmu międzynarodowego" radziby w równowadze sił, w oparciu o sojusze militarne, w autarchii państwa czy jednego ustroju społecznego, widzieć zabezpieczenie bytu. I tak nacjonaliści wysuwają program mocarstwowy, zaś ich skrajni przeciwnicy chcieliby nas wciągnąć w politykę imperialną i stworzyć z Polski pomost dla totalistycznego systemu Europy czy świata. Tymczasem miejsce Polski, jest we współpracy wolnych ludów, wykonujących jedno prawo międzynarodowe, żyjących w związkach federacyjnych wzajemnie się kontrolujących i uzupełniających. Polityka mocarstwowa osłabia nas jedynie, a z drugiej strony na służbę nikomu naród zapisać się nie da. Nie żądając sami zaboru, nie możemy służyć także dla żadnej ekspansji ustrojowej czy społecznej.

Gdybyśmy mieli programy ideowe, głoszone z siłą i przekonaniem, oparte o naukowy humanitaryzm, o nowe prawa człowie-

ka, gdybyśmy o wolności ludów mówili i dla niej działali, wspomagali ruchy demokratyczne, gdybyśmy od pierwszych lat niepodległości głosili program federacyjny środkowo-europejski i dla niego pracowali wtedy gdy wydawał się tylko marzeniem, o ileż silniejsze byłoby nasze stanowisko dzisiaj.

Czemu program sprawiedliwości międzynarodowej ma być nierealny, czemu on ma być marzeniem, a marzycielski nie jest program mocastwowy lub równowagi sił, lub rewolucji społecznej z zewnątrz przyniesionej? Tamten nie rozbudza imaginacji, nie może służyć dla krzyku, nie może używać słowa walka, za którym zawsze kryje się nienawiść. O wiele łatwiej jest masy uczyć nienawiści niż wzajemnego poszanowania, łatwiej odbierać niż dawać, łatwiej jest obalać prawa niż przeprowadzać ich rozumowe zmiany. Przy krzywdach i nędzy, przy nierównościach społecznych łatwiej jest wypłynąć na negacji, niż na pozytywnym programie pracy.

Nowy racjonalizm społeczny, jaki rodzi się na świecie i do głosu przychodzi, wbrew nawrotom i reakcjom, które choćby najdłużej trwały są tylko epizodami, ten naukowy humanitaryzm ponad narodowy i ponad państwowy nie podburza namiętności, a przemawia jedynie do imaginacji, wizję jutra otwierając przed człowiekiem. Odrzuca mistykę społeczną, która zawsze jest zgubna i uzasadnia z reguły bezprawie i tyraństwo. Wymaga skromności i względności pojęć, ciągłej kontroli nad samym sobą, ciągłej kontroli głoszonych twierdzeń. Wymaga wysiłku stałego, czujności wzajemnej. Kontroli praw społecznych przez prawa naukowe, reform społecznych płynących z odkryć technicznych i przemysłowych. Wymaga radykalnej reformy wychowania, która ograniczyć musi humanistykę by na jej miejsce wprowadzić humanitaryzm, zdolność współżycia. Wymaga by odrzucić wszystkie mgły romantyzmu, wiarę w misję i przodownictwo narodów, klas, jednostek — nakazuje rewizję pojęć, do których jesteśmy przywiązani z tytułu dziedzictwa.

Jest programem nowej pracy organicznej.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

DWUGŁOS

Antoniemu Słonimskiemu

Gdy ci przyłożą nóż do piersi nagiej
i każą zajrzeć do otwartej trumny,
czego ci trzeba, szlachetny i dumny?
— Odwagi.
A kiedy padniesz, nieugięty, twardy,
i wróg twe serce będzie ściskał w ręku,
czego ci trzeba, by skonać bez jęku?
— Pogardy.
Oto rozsiane białe twoje kości,
a z czynu będą potomni korzystać.
Czego chcesz, aby w milionach zmartwychwstać?
— Miłości.

STANISŁAW BALIŃSKI

WIECZÓR W TEATRZE WIELKIM

1. ÓSMA WIECZÓR

Gdy zegar na Ratuszu o ósmej wieczorem
Wydzwania melodyjnie przedstawienia porę,
Widzę Plac Teatralny, oświetlony falą
Lamp owianych jesienią, jak pożółkły salon.
Słyszę turkot dorożek i dzwonki tramwajów,
I głos chłopców, co we drzwiach „afisze" sprzedają,
I oczy od Ratusza ku filarom zwracam
I jak cień tam wyrastam, i jak cień powracam.

Już późno. Już się spóźnię. Już biegnę ostatni.
Rzucam szatniarce w biegu stare palto w szatni.
Już światła pogaszone. Opera zaczęta.
Myślałem, żem zapomniał. Ale wciąż pamiętam.

*

Ktoś śpiewa w mroku arię. Pachną zżółkłe plusze
I pył od sceny płynie, wirując w ciemności.
Chcę słuchać. Lecz nie mogę. Lecz wspominać muszę.
Na poddaszach melodji wśród kurzów młodości.

2. MATKI POETÓW

„Gdy idzie smutna pora, że młodość zawodzi,
Przenieśmy się do wspomnień, a będziemy młodzi" —
Tak czasami do synów w zadumie szeptały
Matki młodych poetów, gdy młodość żegnały.

Jakże one kochały teatr i jak skrycie
Odnajdywały w fikcjach jakieś drugie życie,
Które im dolewało do rzeczywistości
Jedną kroplę goryczy, sto kropel radości.

To one na dramatach płakały miłosnych,
Gdy Damy Kameliowe żegnały czar wiosny,
To one śmiech tłumiły na komediach Flersa,
Broniły biednej Nory albo vice-versa;
Z bulwarów wielkomiejskich schodziły do wioski,
Nuciły razem z Toską wielką arię z „Toski".
Szeptały słowa Julji, zaklęcia Kordiana,
Cierpiały z Maliczewską, wielbiły Cyrana.

Szły na wieczór ubrane odświętnie i ślicznie,
Trochę burżuazyjnie, trochę romantycznie,
Wciągając w przedpokoju białe rękawiczki,
Myte pilnie benzyną, jak kremem policzki,
A następnie skrapiane perfumą Pinaud'a,
Jaśminem, bo na jaśmin była wtedy moda.
A wracały z teatru rozmarzone z lekka,
Jak z podróży, co była piękna i daleka,
I przez śpiące mieszkanie szły, jak smuga cienia,
Położyć nam przy łóżku afisz z przedstawienia.

A gdy nazajutrz rano ciemny świt zimowy
Na zaśnieżonych szybach zaczynał zakwitać
Odnajdywałem afisz, leżący u głowy,
I z afisza uczyłem się, jak ze snu, czytać
Z nazwisk polskich aktorów, z tytułów opery,
Składałem pierwsze zgłoski i pierwsze litery.

*

Gdy inne matki wiodły swych synów od młodu
Na słońce, na powietrze, w las, i do ogrodu,
One nas prowadziły, tłumiąc podniecenie,
Między dwa rzędy krzeseł, ku błyszczącej scenie,
Gdzie był gaj „Niepoprawnych", sny „Strasznego Dworu",
Renesanse wawelskie i noc Elsynoru.
I szeptały do ucha znachorskie nauki,
Że to jest tylko piękne, co płynie ze sztuki,
Podczas kiedy na scenie końcowa tyrada
Rozpływała się w ciszy, i już nakształt tęczy
Zapadała kurtyna, z muzą, która — blada —
Klęczącego u stóp jej chłopca skronie wieńczy.

Dzięki wam moje cienie, dzięki wam, o miłe
Może cierpiałem więcej, ale więcej żyłem.
Na całą moją wdzięczność miłość niewygasła,
Którą wożę ze sobą przez kraje, przez miasta,
A na całą pamiątkę — wiersz sentymentalny,
Jak z zapomnianej sztuki afisz teatralny.

3. ARIA I PIEŚŃ

W rozgrzanej melodjami sali, której zapach
Płynie z nami, jak echo po tęsknoty mapach,
— Śpiewaczka śpiewa arję...
Ach, umiem na pamięć
Wszystkie ruchy śpiewaczki: gdy unosi ramię,
Lub gdy ręce wyciąga „tam, ku wschodniej stronie",
Żeby je potem złożyć na dyszącym łonie,
Lub gdy „trwa" zapatrzona w jakiś punkt daleki,
Wywracając w tył oczy i mrużąc powieki.

Lecz stopniowo odpada, jak zapora mglista,
Cała śmieszność tych ruchów, tych póz i szelestów,
I ostaje się sama, bezbronna i czysta,
Melodja wyzwolona z nierozumnych gestów...
Tak oto przez mrok sali, co słucha bez słowa,
Płynie arja opery — w i e c z n a p i e ś ń l u d o w a.

*

Bo czyż pieśnią ludową nie jest dziś opera?
Tak samo się poczyna, tak samo zamiera,
Tak samo się objawia w melodji i śpiewie,
I w patosie lirycznym, co swej głębi nie wie;
Tak samo niesie z sobą romanse i żale,
Na pół dopowiedziane, jak obłok, jak fale,
I tak samo ogarnia nas smętną zadumą,
Która jest zawsze bliższa sercu, niż rozumom.

*

Gdzie jesteście warszawskie, natchnione soprany,
Małgorzaty, Santuzze, Halki i Goplany?
Gdzie-żeś głosie skrzypcowy Polińskiej-Lewickiej,
I ty, bladozielony, jak wiosna, Mokrzyckiej,
I ty, wezbrany łzami i skargą Lipowskiej?...
Gdzie jesteście soprany: Stasi Szymanowskiej,
Margot Kaftal, Zboińskiej, Korolewiczówny,
Koloratury: Sari, Bandrowskiej, Mechówny?
Kto wasz urok wypowie, kto utrwali ślady,
Gdyście się rozsypały, jak majowe sady!

Zasłuchany w pieśń waszą, jak kiedyś, przed laty,
Idę pod scenę wspomnień — i rzucam wam kwiaty!

4. ANTRAKT

Melodja, rzekłbyś, smuga coraz przezroczystsza
Rozwiewa się, jak obłok, w rękach kapelmistrza
I przepada... — Jest antrakt. Płonie elektryczność.
Przecieram oczy z pieśni — i patrzę w publiczność.

Publiczność operowa. Jakże znam te twarze,
Co płyną wzdłuż foteli i przez korytarze.
Jakże dobrze pamiętam uśmiechy estetów,
Co narzucają innym swoich gustów prymat,
I tych wszystkich niedoszłych twórców i poetów,
Co tworzą wkoło siebie jakiś gorzki „klimat".
Poznaję już po „minie królewskiej" z daleka
Panią, która na debiut obiecany czeka,
I tę, co go już miała i poległa w walce. —
Obok nich stoi młodzian, co raz w życiu w „Halce"
Dublował partię Jontka, a teraz jest znawcą
I patrzy ludziom w oczy długo i badawczo.

W przejściach jakieś paniusie czyhają, jak błędne,
Na „sławy teatralne", choćby drugorzędne.
Jedna od drugiej słodsza, czulsza, posuwistsza:
Będą żebrać o uśmiech, szeptać: „proszę mistrza".

Pełno jest melomanów, bywalców, adeptów,
I pełno wśród nich plotek i umownych szeptów;
Kłębią się w kuluarach, za wszystkimi śledzą,
O wszystkim, co się dzieje za kulisą, wiedzą, —
Prócz jednej tylko rzeczy, — że nie ma tam cudów.
Że za artyzm się płaci całym życiem trudów,
Całą burzą trzeźwości i natchnień posuchą,
Żeby móc kiedyś ujrzeć „brzeg, który jest sztuką".

*

W dużej loży przy scenie siedzi jasnogłowa,
Teatralno-muzyczna, bujna, operowa,
Rodzina Młynarskiego. Dyrektor we fraku
Rysuje się nad nimi, jak cień na tle gmachu,
Ma rękę podniesioną, której ruch pamiętam,
Ruch namysłu, nim da się znak — ruch dyrygenta.
Za chwilę go powtórzy ze skupioną miną,

Ale już w ciemnej sali, przed drżącą kurtyną.
Uniesie w górę rękę. Rozejrzy się bacznie,
I uderzy o pulpit. I czarować zacznie.

5. TENOR

Z kolei śpiewa tenor. I sala zamiera.

Wszystko, — co chciałby czasem, na kształt bohatera,
Wypowiedzieć mężczyzna z namiętnością żywą,
A czego mu powiedzieć nie daje wstydliwość, —
Objawia się w tenorze i w śpiewackiej duszy,
Gdy uwodzi, jak władca, i jak paw się puszy.

Czasem jest tenor siłą, zdobywczym eposem,
Jak Gruszczyński, gdy śpiewał nieodpartym głosem,
Miotając się po scenie: „zwycięstwo" lub „biada"
Do Aidy, co stała posępna i blada.

A czasem jest rozpaczą i kochankiem płaczu,
Jak Dygas — kiedy przez łzy — łkał „Śmiej się pajacu";
A czasem jest zadumą i sielskim amantem,
Jak Dobosz, jak noc wiejska, jak arja z kurantem.

Czasem wreszcie drapuje się w płaszcz trubadura
I chce tylko uwodzić. Tak śpiewał Kiepura,
Kiedy w hiszpańskim stroju, z włoskim wzywał szarmem
(W strasznym polskim przekładzie) „ubóstwianej" Carmen.

Aria tenora rośnie i ku szczytom zmierza,
Sala oddech zapiera, a on go rozszerza.
Wspiął się lekko i z płuca powietrza dobywszy
Sięgnął tonów wciąż słodszych, a nut coraz wyższych.
Rozwarł oba ramiona prawie prostopadle,
Na sekundę z melodią przystanął... I nagle
Odbił się — i uchwycił górne „do" podniebne,
Tak boskie, tak wspaniałe... I tak niepotrzebne.

6. GALERJA

Galerja, jakby tknięta elektryczną iskrą,
Unosi się i wzywa śpiewaka nazwisko,
Jak się czasami wzywa imienia fortuny,
Która się w snach czarownych zjawia, na kształt łuny.

Wszyscy biją oklaski, rzekłbyś, w tej minucie
Każdy się trochę poczuł bohaterem w skrócie.
Młodzieńcy z Mokotowa, młodzieńcy z Nalewek,
Panny z konserwatorjów upojone śpiewem,
Marzyciele filmowych, nieziszczalnych karjer, —
Wszyscy wznoszą się tłumnie z nad żelaznych barjer,
Wypływają na salę bezimienną chmurą
(Wśród nich zgubiony młodzian, w pince-nez, z partyturą)
I biją swe oklaski, tracąc oddech prawie,
Cudzym sławom i swoim marzeniom o sławie.

Ach, po jakiejś tam bujnej arji z „Cavalerji",
Co uderza bezmyślną kaskadą liryzmu,
Smętki polsko-żydowskie na górnej galerji,
Jak na poddaszach życia — to szczyt egzotyzmu

7. BALLADA O CHÓRZYŚCIE

Na scenę wchodzą chóry. Mają dziwne stroje:
Sukmany albo fraki, sombrera lub zbroje.
Ustawiają się kołem z przykładną rytmiką
I zaczynają śpiewać, barwiąc śpiew mimiką.
Jedni grają bezmyślnie, inni z sennym wdziękiem,
Są tacy, co zgrywają się na własną rękę,
Wyrażając swych urzuć całe panoramy,
Niby coraz to innych, a zawsze tych samych.

Kiedy solista cierpi, — chór z nim razem cierpi,
A kiedy jest szczęśliwy, — chór z nim radość czerpie,
A kiedy jest zwycięzcą, — tłum mu krzyczy: „sława",
A kiedy jest pobity, — tłum się naigrawa.

Solista skupia w sobie cały blask i światło,
A chór jest ornamentem i służy mu za tło.
Solista ma stać pierwszy. Chór ma stać w ukryciu.
I niemaż tu równości... jak w życiu, jak w życiu...

*

Ale raz się zdarzyło, że jeden z chórzystów
Nie chciał śpiewać z chórami i stać wśród statystów,
Nie chciał być wiecznym pionkiem, bez nazwy, bez łaski,
Chciał mieć swą własną partję i własne oklaski.

Ponieważ mu występu odmawiano stale,
Postanowił sam kiedyś, w „Aidy" finale,
Wystąpić. Wyszedł z chórów, wyskoczył na podjum.
Odebrał tenorowi drapieżnie melodję
I zaczął śpiewać głosem, który nie był śpiewem,
Ale buntem, tęsknotą, rewolucją, gniewem.
Wydął serce i płuca, wzmógł się i rozhulał,
Chciał przekrzyczeć Aidę, Radamesa, Króla,
Chciał przegłuszyć orkiestrę, potęgą nabrzmiewał,
Uniósł ręce do góry. I śpiewał, i śpiewał...

Dyrygent się przestraszył. Oniemiała sala,
Ktoś krzyknął za kulisą: „Boże, on oszalał!"
Zapuszczono kurtynę. Groziło skandalem.
Zniesiono go ze sceny łkającego dalej
I wyrzucono z miejsca na zbity łeb, w cienie,
A gdy się ocknął, pojął, że to zakończenie.

Odtąd sam stał się cieniem. Stracił dawną żywość,
I tylko innym cieniom wróżył sprawiedliwość,
Która zmiecie bogatszych, szczęśliwszych, piękniejszych...
A wieczorami wracał, jak za dni dawniejszych
Do opery. I równo o ósmej godzinie
Przysiadał się pokornie gdzieś na strapontinie,
I założywszy ręce w poprzek kamizelki
Słuchał — żując w zadumie ślazowe karmelki.

8. OKLASKI, ACH, OKLASKI...

"Oklaski, ach, oklaski... Kto nie zaznał przedtem,
Nim go życie nie starło, ich magji tajemnej,
Ten nie znał pełni życia..." — zwierzał mi się szeptem
Śpiewak, Wacław Brzeziński, w głębiach sali ciemnej
Na jakimś poetycznym spektaklu „Bohemy".

Brzeziński tracił właśnie swój głos i ze sceny
Schodził u szczytu sławy. Lecz o powodzeniu
Mówił już, jak o dawno minionym zdarzeniu.
"Oklaski, ach, oklaski... Kto nie zaznał nigdy
Całego ich uroku i całej nicości,
Ten będzie wiecznie dźwigał ciężar jakiejś krzywdy,
Co, jak pleśń, go obrośnie kompleksem niższości
I odgrodzi od ludzi mgłą rozgoryczenia...
Każdy musi mieć swoją chwilę powodzenia
I każdy musi poczuć się choć raz wieczorem,
Bohaterem wieczoru i tryumfatorem,
I odkryć cały urok, jaki z tego płynie,
I jeszcze większą pustkę, gdy ten urok minie
I odchodzi, — by odtąd z innymi go zdradzać...
Oklaski, ach, oklaski..."
Chciał mówić, lecz z sali
Ktoś syknął niecierpliwie „proszę nie przeszkadzać",
Więc umilkł — sam, jak echo oklasków z oddali.

9. PUCCINI

Śpiewano Pucciniego. Czyż z twórców ludowych
Nie jest Maestro najbardziej jakiś operowy?
Czyż nie uwodzi dotąd liryzmem swej frazy
Tych wszystkich, którzy lubią przeszłości obrazy
Podkładać pod melodje, lub pod jakieś wiersze,
Nie dlatego, że piękne, — dlatego, że pierwsze.

Wszystko w nim brzmi fałszywie: i Paryż, i Chiny,
I libretto japońskie, i Manon, i Mimi.
A przecież jest w całości najczystszą operą,
Przez swój patos — tak sztuczną, przez swą sztuczność — szczerą.
I wystarcza usłyszeć pochód kwint banalnych,
Pucciniowskich, by urok lat sentymentalnych
Odżył nagle, jak smuga przed oczami blada:
— Jakaś mała uliczka... jakiś świt... śnieg pada...
Jakiś powrót do domu, słowa coraz łzawsze...
I jakieś pożegnanie.
— Na długo?
— Na zawsze.
I dlatego, gdy czasem w wymarłej kawiarni
Ktoś zagra Pucciniego, żałość mnie ogarnia.
Odsuwam zsiadłe mleko i opieram głowę,
Na rękach, jak bohater powieści brukowej.
Twój cień, Manon, powraca w wypłowiałej sukni;
Udaję, że go nie znam. I coraz mi smutniej.

10. OSTATNI ANTRAKT

A tymczasem na scenie wśród sztucznej scenerji
Paryskiego Montmartru, co błyszczy błękitnie,
Kończy się zakochanych duet z „Cyganerji"
O tem, że „przyjdzie szczęście, gdy wiosna zakwitnie".
I kurtyna zapada po ostatnim akcie.

Sala jest zawsze cichsza w ostatnim antrakcie.
Jakaś paniusia ściera z policzka łzę rudą:
„Chciałabym się tak kochać, jak Mimi i Rudolf".

Przez kręty korytarzyk i pochyłe schody
Idę napić się szklankę cytrynowej wody
Do foyer na pół-piętrze, co ma kształt salonu
I wygląda na Ratusz. Okna od balkonu
Są szeroko otwarte. Wychodzę na balkon
Miasto śpi przesłonięte jesienną woalką.
W oddali milknie turkot spóźnionej dorożki...
— Już chłodno... Już w powietrzu czuć pierwsze przymrozki.

Opieram się o poręcz. Zastygam jak kamień.
Czas przystanął nade mną, objął mnie za ramię.
Antrakt się dawno skończył. Jest cisza w teatrze,
A ja tam jeszcze stoję, a ja jeszcze patrzę,
A ja jeszcze się grzebię w wyobraźni młodej,
Jakbym dotąd nie wierzył, że dawno czas odejść.
Zegar wybija sennie ostatnią godzinę
Wspomnień, którymi żyję i od których ginę.

*

Miły Teatrze Wielki, domowy teatrze,
Gdzie są filary twoje, tak pogodne zawsze?
Gdzie schody staroświeckie i złocone rampy,
Oświetlone poezją secesyjnej lampy?
Gdzie fotele pluszowe i barwne afisze,
I półmrok, w którym skrzypiec strojenie wciąż słyszę,
I kurtyna z maskami, które kryły lico
Jakichś bóstw, co na zawsze będą tajemnicą.

Chodzę po twoich zgliszczach, przystaję, wspominam,
Grzebię się wśród popiołów, szukam po ruinach.
Odsuwam jakiś kamień, zaglądam pod gruzy,
Owiane czarnym szalem nieśmiertelnej muzy,
Przykładam do nich ucho, zarośnięte pleśnią,
Żeby usłyszeć jeszcze, czy żyją, czy nie śnią.
I znowu, znowu chodzę pośród jakichś strzępów
Zczerniałych dekoracji, zgasłych instrumentów,
Potrzaskanych popiersi i rozdartej szarfy,
W którą umarły muzyk wplótł westchnienie harfy.

Wiatr nad nami kołysze namiętnie i dziko,
I opada powoli, jak szloch...

Płacz, muzyko!

ANTONI SŁONIMSKI

ATLANTYDA

Czarną krwią zaciemnione, wściekłe, huczące, ogromne
Morze cię pochłonęło głębią swą nieprzeniknioną
Kraju mojej młodości do Atlantydy podobny,
Próżno zdradne syreny wabią nas w głąb oceanu,
Jękiem trwożnym nocami budzą, wzywają do drogi.
Dokąd płynąć nam każą głosy przeszłości żałobne?
Nie ma dla nas powrotu, kresu wędrówki Odyssa,
Chyba śmierć jest powrotem. Trzeba by nam jako Chejron,
Który choć nieśmiertelny — śmierć chciał wybłagać u Zewsa,
Idąc drogą nieznaną wrócić w krainy znajome.
Bracie, odwróć twe oczy, odwróć od wysp zatopionych,
Jeden świat jest i ludzie wszędzie są braćmi twojemi.
Dawnej żeby nie stracić — nowej nam trzeba ojczyzny.
Morze jej nie pochłonie bo ona głębsza od morza,
Wicher jej nie rozwieje bo ona ponad wichrami,
Większa niźli cesarstwa, większa niż rzeczpospolita
Bratnią krwią okupiona — Ziemia miłością podbita.
Niechaj Febus ognisty złoci jednakim promieniem
Pracę zgodną i przyjaźń. Kiedy zaś księżyc wypłynie
Między jawą i snami wpół zawieszeni marzeniem
Wracać, wracać będziemy, w głębie zanurzać się mroczne,
Kędy światło niebieskie siły już nie ma przeniknąć,
Własnym blaskiem więc każdy kształt musi świecić w ciemności.
Tam cię znowu odnajdę drżący od świateł tajemnych
Kraju mojej młodości do Atlantydy podobny.

MARIA KUNCEWICZOWA

NOTATKI

1.

Nieobecni działają na obecnych, jeśli stanowią wytwór wyobraźni. Wtedy dysponujemy nimi, nie rozstajemy się z nimi. Istnieją w nas jak serce, jak płuca. Jak przeszłość. Jak sny.

Obecni często nie istnieją bo są na zewnątrz nas. Nie urodziliśmy ich i nie pojęliśmy ich. Istnieją poza nami, jak chmury, jak drzewa. Jak czas nieprzeżyty i nieśniony.

2.

Budzę się w nocy. Leżę w pokoju, którego już nie ma. Na gołej ścianie wyczuwam jedwabną płachtę. Sięgam po nieistniejącą książkę na stoliku którego nie ma. Czytam tę książkę w nieprzeniknionej ciemności. Odkładam ją w próżnię. Zasypiam bogatsza.

Nazajutrz myślę o Albanii, która jeszcze jest. Której nie pochłonęło trzęsienie ziemi, ani pożar. Patrzę na fotografię Tirany. Siadam koło ślicznej Albanki, pytam czy król Zogu jest dobry. Albanka mówi. Jej słowa są głośne, oczy wymowne. Nie czuję i nie słyszę nic. Odchodzę tak samo uboga.

3.

Ręce roztopione w ziemi od lat trzynastu Teresa widzi we wszystkich szczegółach. Widzi ich ruchy, kształt, kolor, żyłki, zadrę koło paznokcia. Czuje ich ciepło. Tak samo żywe są ręce Pawła, który znikł. O którym niewiadomo czy jeszcze gdziekolwiek na ziemi używa swoich rąk.

Natomiast Teresa nie wie nic o rękach Berty, która codziennie ściele jej łóżko. Ani o rękach Emmy która od roku gotuje jej obiady.

4.

Paweł który znikł nie zmuszał Teresy do istnienia, wtenczas kiedy się kochali. Na to za mało był Pawłem, był także kimś innym. Później obaj znikli. Ale ktoś nieobecny pozostał.

Paweł podobno gdzieś istnieje pod Kołem Arktycznym. Teresa bywa tam, mówi do niego „Pawełku", łuska groch, szyje łapcie, ogrzewa go ciałem w straszne noce rosyjskie. Wtedy Nieobecny snuje się za drzwiami i narzeka na niebyt.

Kto zmusza Pawła do istnienia?

W ciemności londyńskiej, w zamgloną noc, w Hyde-Park'u, Teresa kładzie się na mokrej ziemi z Nieobecnym, żeby przetrwać. Żeby Paweł miał do kogo powrócić.

5.

„Jakie jest jego imię"? „Jego imię jest Daniel". „Jak na niego wołacie?" Milczenie. Nie wołają go wcale. Przyglądają mu się, fotografują. Nie rozumiają jego gadania, nie umieją ani karmić, ani ubierać. Boją się go i odsyłają do niańki. Nie jest ich dzieckiem. Jest prawnukiem nieznajomych pradziadów. Dziecko jest piękne. Nie dowierzają tej piękności. Czekają, czy z wdzięcznego ciałka nie wynurzy się choroba, jakieś obrzydliwe dziedzictwo, jakiś wstrętny nałóg. Oni sami są piękni. Ale im się udało zwyciężyć dziedzictwo, zataić nałogi, oszukać nienawiść świata. To piękne dziecko nie będzie może tak szczęśliwe. Może zdekonspiruje siebie i swoich rodziców? Może odsłoni światu dziedzictwo matki? — nałóg ojca? Zniszczy swoich rodziców.

6.

Adwokat Samuel uciekł z Polski, żeby nie być Żydem. Jego kuzyn, ożeniony z Rotszyldówną, zabronił mu w Paryżu mówić ze swoim teściem o wspólnym wuju — rabinie ze Smoczej. Więc uciekł do Szwajcarii, żeby nie być snobem. W Szwajcarii spotkał poetę. Istnienie w charakterze prawnika poczęło go mierzić przy konfrontacji z fikcją literacką. Wrócił do Paryża w charakterze komediopisarza. Paryż nie przyjął go, bo Samuel nie był ani Żydem, ani snobem, ani genewskim adwokatem.

Uciekł od Paryża, żeniąc się z Rosjanką. Razem wyjechali do Z.S.S.R. Rosja komunistyczna nie przyjęła go, bo nie był ani Paryżaninem, ani komediopisarzem.

Wrócił do Francji, by istnieć zwyczajnie w charakterze Francuza. Ale Francja nie przyjęła go, bo nie był Francuzem.

Wyjechał do Anglii, by istnieć zwyczajnie w charakterze człowieka. Anglia zażądała, by Samuel istniał w charakterze właściciela paszportu, czyli w tym wypadku Polaka.

Samuel wstąpił do polskiego wojska. Ale Polska pozapaszportowa nie przyjęła go, bo Samuel był Żydem.

Teraz Samuel ćwiczy się w spadaniu parachut'em. I myśli: gdzie spaść, żeby przestały istnieć: ulica Smocza, Paryż, poezja, prawo, wojsko i Z.S.S.R.? A zaczął istnieć: Samuel.

7.

W lounge'u pensjontowym siedzą narodowe grupy. Każda ma swój własny sekret życia i pogardza sekretami innych grup. Patrzą na cudzoziemców jak na wariatów, oglądając się za kaftanem bezpieczeństwa. Każdy słucha komunikatu wojennego w swoim własnym języku i nienawidzi Hitlera na swój własny, narodowy sposób. Jedynie słuszny sposób.

8.

Dlaczego jest tak przyjemnie udzielać objaśnień przechodniom? Bo oni zaraz odejdą. Dlaczego tak są interesujące twarze, słowa, sekrety współpasażerów pociągu? Bo oni zaraz wysiądą, a my nie wysiądziemy razem z nimi, tylko obok nich.

Widziałam, jak dziewczyneczka z krótkim noskiem, różowa Jeanet klaskała w ręce, paplając: „Jeanet miała szczęście! Jeanet się udało! Jeanet jedzie tramwajem razem ze swoim tatusiem"! Unosiła oczy, ekstaza szczęścia rozpromieniała śmieszny, kurczęcy pyszczek, siła uczuć była tak wielka, że buzia zdawała się pękać. Jakże bolesny, groźny, jak zawstydzający widok! Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy dziecko wysiadło w objęciach swego Daddy. Chwała Bogu! Nic nie będziemy wiedzieli o tym, co życie zrobi z jego szczęściem i jego miłością.

9.

Jeszcze Polska nie zginęła... Jaka, która Polska nie zginęła? Ta, którą było widać z okna domu Nr. 11 przy ulicy Hożej, zginęła, bo zginął dom Nr. 11 przy ulicy Hożej.

Dla kogo nie zginęła? Czy dla tych, co jej nie znali? Czy dla tych, dla których istnieć dopiero zaczyna?

Oto jak Polska istnieć dla niektórych zaczyna:

Stare panny szwajcarskie pytają polskiego porucznika:

— Czy chciałby pan zabić Hitlera? Nie? Pan nie lubi zabijać? Czy być może? Ależ kolega pański zabił wczoraj małą myszkę pod biurkiem w kancelarii.

Przy herbacie u Forsyte'ów na Carlton Drive:

— Polacy? Naród zbiegów. Najpierw zbiegli z Polski. Potem z Francji. Teraz uciekają masami z obozów jenieckich w Niemczech. Uciekają z Rosji, z Mirandy... Polska? W Polsce było ghetto, teraz nic już tam nie ma.

Niemcy weimarscy mówią:

— Polska to kraj, gdzie się obcina uszy lokajom. Kraj, gdzie nie ma Quislinga. Kraj, gdzie będzie Stalin.

Wdowa po angielskim pastorze mówi:

— Polska, to kraj, gdzie się nieustannie, bardzo głośno mówi. Gdzie się gra, gdzie się śpiewa. Gdzie się ma dużo dzieci. Gdzie się niełanie je. Gdzie się traci dużo mebli. Gdzie księża nie mają żon, tylko gospodynie.

Albańczycy:

— Polska to samo, co Albania, tylko duże. Bogate, z własnym rządem i bez króla.

10.

Polski eks-komunista, zagubiwszy w Rosji żonę i dziecko, popada w katolicki mistycyzm. Dlaczego? Bo kategorie obecności i nieobecności na ziemi zatarły się dla niego. On nie wie, czy jego żona i dziecko jeszcze t u są, czy ich już nie ma. Znikli. Czy roztopili się w życiu, czy w śmierci, on tego nie wie. Więc musi tak żyć, jak gdyby nie było takich kategoryj. Jak gdyby i tu i w niebie była tylko wieczność, tylko obecność, tylko dusze.

11.

Dzieci w kościele odwracają się tyłem do ołtarza, gwiżdżą i tupią w czasie Podniesienia, zagapione na muchy, czy na cudze guziki. Ludzie dorośli, którzy czyhają wtenczas na obecność Boga — jedni irytują się na dzieci, inni się za nie wstydzą, ale większość uśmiecha się, rozczulona. Bo dzieciom wolno jeszcze do obecności Boga nie tęsknić. Dzieci nie są jeszcze obecne w charakterze ludzi — są przebranymi za ludzi zwierzątkami. To samo rozczulenie, co wobec dzieci w kościele, odczuwałam w cyrku, patrząc na pieski czy małpki w kapeluszach, w spodniach, na rowerach. Urocza maskarada, bezradność, nonsens, odpoczynek od człowieka, a więc i od Boga.

Raz mały Hiszpan pokazał język księdzu, tupnął na ołtarz, wściekły z nudów i przymusu. On jeden dostrzegł Boga. On jeden był między dziećmi człowiekiem. Prastara kultura religijna przeżarła go tak głęboko: Szatan mówił już przez to dwuletnie ciało.

12.

We snach mówi się z chłopcem. Zanim zdanie skończone, chłopiec okazuje się dziewczyną. Albo nocny strach, o tyle realniejszy od strachu dziennego, zamraża krew w żyłach. Wtenczas szczury — dwa szczury — wchodzą do pokoju. Jeden ma miłą, okrągłą mordkę kota. Drugi jest duży, jak Simon i najwyraźniej jest psem. I strach przed szczurami mija. Budzimy się. We dnie już także nie boimy się szczurów, skoro one nie są t y l k o szczurami. Skoro jeden z nich jest także kotem, a drugi nawet psem. Znajomym psem, Simonem.

13.

Przegrody w czasie powoli wykruszają się razem z życiem. Dni, noce, następne dni zlewają się w jeden czas. Ranki zlewają się z wieczorami, jesienie z wiosnami, sen z jawą, przeszłość z przyszłością — zaczynamy przekraczać życie, zaczynamy przenikać śmierć.

14.

„Poczuwajcie się do istnienia" znaczy: poczuwajcie się do samotności.

15.

Moja wiara w ludzi została przywrócona: mimo terroru brunatnych i czerwonych totalizmów, Yehudi Menuchin gra tak, jak gra.

Oto wspaniała obecność nieobecnych: Stradivarius w rękach Menuchina. Beethoven w sercu Menuchina.

Potrójnie obecny Menuchin, w roku 1943 przywraca do życia dusze, otrute przez wojnę totalną.

16.

Czerwony żagiel na zatoce polruańskiej odczynia uroki. Urokiem, złym usypiającym urokiem, jest tutaj szarość — les adorables pâleurs. Szarość tak bogata, piękna, przesycona kolorami, tak samowystarczalna, ponadczasowa i ponadzmysłowa, że człowiek otulony nią przestaje interesować się światem. Świat pozapolruański — jaskrawy — wydaje się wulgarny. Człowiek w Polruanie zaczyna brzydzić się krwią, bo jest czerwona, miłością, bo jest bolesna. Uznaje tylko przyjaźń, tylko bezgłośny uśmiech, tylko patynę, tylko mgłę.

Wtedy na zatokę wypływa ten czerwony żagiel. Nie ma takiego światła, ani takiego tła, na którym wyglądałby ładnie. Jest krzykliwy, jednotonowy, bez żadnego niuansu, bez żadnych aluzyj. Jest po prostu bardzo czerwonym żaglem bardzo szybkiej łodzi.

Łódź szasta się po zatoce, nachylona pod wiatr — dokądś śpieszy, znów wraca, wygląda na terminową depeszę w poszukiwaniu adresata. Jaka treść depeszy? Czy ktoś umarł? Czy ktoś się urodził? Wszystko jedno. Chodzi o to, żeby adresat natychmiast ruszył w podróż, bez względu na to co przyjdzie mu witać: śmierć, czy życie.

Patrzę na brzydki czerwony żagiel pośród niebiesko-perłowej zatoki, która z gamy czerwonej uwzględnia tylko rdzę, fiolet, nieśmiałą różowość. Patrzę i trzeźwieję. Dobry urok brzydoty, urok życia, urok śpiesznego czerwonego żagla odczynia zły urok piękna — urok snów na jawie.

KAROL ESTREICHER

O N

— Czterech proszę taty?

— Czterech. Pana Mehoffera i Opieńskiego znasz. Wyspiański już nie żyje. Był wielkim malarzem i poetą.

— To było rano?

— Nie, po południu, o trzeciej. Bawiliśmy się na plantacjach a stamtąd zaszliśmy pod Wawel na Kanoniczną do pracowni ojca Wyspiańskiego, zobaczyć jak rzeźbi biusty królów polskich. Ale był tak podchmielony, że uciekliśmy prędko. Zgrzani bieganiem w upał, postanowiliśmy zajść do katedry.

— A czemu nie do zamku?

— Na Wawelu w zamku była wtedy austriacka kasarnia. Można było chodzić tylko do katedry.

— Przez to główne wejście, gdzie wiszą kości olbrzymów?

— Tak tędy. Jakiś czas włóczyliśmy się po katedrze i byliśmy świadkami dziwnej sceny.

— Jakiej?

— Kardynał Dunajewski wypędzał dewotki bo nie lubił jeśli w dzień powszedni kobiety siedziały za długo w kościele, a nawet drzemały. Gdy spostrzegał babiny spędzające czas bezczynnie wówczas swoim łagodnym ale stanowczym głosem zwracał im uwagę: „Do roboty kobietki, do roboty. Nie trzeba się narzucać Panu Bogu”. I właśnie tego dnia paniusi która rzuciła się aby go całować po rękach, powiedział: „nie siedzieć w kościele za dłu-

go, w domu też można się pomodlić przy pracy". Był kardynał znany z tego, że nie znosił pobożniś.

— A co było dalej?

— Wyszliśmy na wieżę Zygmuntowską. Wyspiański wpadł na pomysł, który nam spodobał się bardzo. „Słuchajcie chłopcy", powiedział, „to przywilej królewski dzwonić w Zygmunta. Musimy jego głos usłyszeć. Zadzwonimy sami dla siebie".

— No i co? — pytałem zaciekawiony.

— Uwiesiliśmy się po dwóch i nie bez trudu rozkołysaliśmy dzwon. Kiedy pierwszy raz uderzył puściłem sznur, ale Wyspiański krzyknął: „ciągnij, ciągnij" i znowu pociągnąłem i znowu dzwon uderzył raz, drugi, trzeci...

— No i co, co?

— No i nic. Tylko w biały dzień, o godzinie trzeciej po południu zdumione miasto usłyszało nagle jak bił nierówno i nierytmicznie. Nie mieliśmy dość sił aby go rozkołysać jak należy. To wielki ciężar. Nie mieliśmy także czasu, bo nagle wpadli na wieżę świątnicy i...

— Co to są świątnicy?

— Tak w katedrze nazywają kościelnych. Pochodzą oni z niedalekiej wsi, która ma od dwunastego wieku przywilej że jej mieszkańcy obsługują katedrę. Wieś dlatego nazywa się Świątniki.

— I co oni zrobili?

— Krzyczeli na nas, a głównie na Wyspiańskiego, bo pokazało się że on już raz próbował dzwonić w Zygmunta, ale był wtedy sam i nie mógł dzwonu poruszyć. Spędzili nas na dół, do zakrystii.

— Tatuś się bał?

— Pewnie że się bałem bo chcieli nam dać w skórę, ale przyszła niespodziewana pomoc.

— Jakto?

— Kardynał usłyszawszy dzwon czym prędzej wrócił do katedry i spotkał nas prowadzonych przez świątników. Wyjaśnili mu psotę. Skarżyli się na młodego Wyspiańskiego, który często do katedry przychodził z ojcem towarzysząc mu przy zdejmowaniu odlewów z królewskich posągów i figle wyprawiał. Biskup zapytał się: „a czemuż to kochanku namówiłeś kolegów żeby dzwonili?" — „Bo chciałem żeby on zadzwonił dla nas". Roześmiał się dobry biskup i powiedział: „A czy wiesz że na to trzeba być znakomitym mężem?" Potem kazał nam iść do domu.

— To wszystko?

— Cóż chcesz żeby więcej było? Chyba to że podczas pogrzebu Wyspiańskiego dzwonił Zygmunt jemu.

Wyszliśmy z ojcem z katedry po nabożeństwie, a ja nie mogłem zapomnieć jego opowiadania. Kilkakrotnie powtarzał mi je później i pamiętam je nie dlatego, że jako bohater występował w nim Stanisław Wyspiański, którego obrazy w mieszkaniu rodziców straszyły mnie swoją niezwykłością, ani dlatego że znałem dobrze pana Mehoffera i Opieńskiego, lecz ponieważ rozhuśtanie znanego dzwonu musiało być naprawdę emocjonujące.

— A ja mógłbym zadzwonić?

— Spróbój, ale ci nie radzę. Zresztą to nie jest tak łatwo.

— Czy przyjemnie jest huśtać się na sznurze od dzwonu?

— Już po tylu latach nie pamiętam.

— To było dawno?

— Dla mnie niedawno. W roku 1882, równo trzydzieści lat temu.

— A przedtem tata mówił że to tyle lat a teraz że to było niedawno? Więc jak? Nie rozumiem.

— I tak i tak. Zrozumiesz kiedyś że to możliwe.

Ilekroć słyszałem Zygmunta przypominała mi się ta historia, nieznana chyba biografom wielkiego poety. Krzysia i Ewa słuchały jej chętnie także ale one wolały inne opowiadania o Wyspiańskim, który razem ze Stanisławem Pietraszkiewiczem przyniósł w koszyku na lekcję profesora Rypla małe kocięta i po jednemu wypuszczał je spod ławki. Bawił nas ojciec tą historią, jak również opowiadaniem o wycieczce na odpust do Mogiły, gdzie Wyspiański zarobił na portretowaniu pielgrzymów lub opowiadaniem o tajemnicy wuja Wyspiańskiego, który zabił austriackiego szpiega na plantach. Pokazywał nam miejsce gdzie legł zasztyletowany w roku 1848 zdrajca i znak i datę wyrąbaną z tego powodu na drzewie.

Ale dzwon pociągał mnie zawsze. Wcześnie zauważyłem, że spokojny rok krakowski dzielą dni, kiedy Zygmunt dzwoni i że w życiu miasta odgrywa on wielką rolę.

Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na Boże Ciało dzwonił z zasady. Wtedy szły pod Wawel tłumy w świątecznym weselu i słyszały jego głos napełniający ulice miasta. Już w przeddzień mawiano w Krakowie że „Zygmunt będzie dzwonił" i gdy spodziewano się go usłyszeć otwierano okna, by jego dźwięk wpłynął do mieszkania, jakby przynosząc błogosławieństwo życiu.

Rzadko, bardzo rzadko dzwonił niespodziewanie i wtedy budził niepokój i zaciekawienie. Brzmiał wtedy w całym mieście, wstrząsał nim, poruszał umysły mieszkańców. Dźwiękiem głuszył inne dzwony krakowskie i słyszały go dalekie przedmieścia. Ludzie stawali na ulicach, kupcy wychodzili ze sklepów, robotnicy przerywali pracę, bo on wzywał, witał, obwieszczał. Mówiono krótko: „Zygmunt dzwoni" lub pytano się wzajemnie: „co to Zygmunt?" — i nadsłuchiwano jego dźwięków, płynących majestatycznie nad dachami domów, nad kopułami kościołów, nad drzewami ogrodów Krakowa.

Potem ktoś objaśniał: tak to on, on na pewno. Ktoś przypominał sobie: to dzisiaj ingres biskupa, lub pogrzeb narodowy, lub koronacja papieża i uspokojeni mieszkańcy wracali do swoich zajęć.

Więc wcześnie dowiedziałem się o nim i zrozumiałem jego rolę.

— Czy mnie uda się kiedy w niego zadzwonić?

— Ale dlaczego chcesz dzwonić w Zygmunta? — zapytala Krzysia, niepodzielająca tej ciekawości.

— No bo to musi być zabawne. Tatuś mówił...

— Ee... nie tatusiaj się tyle. Tobie co opowiedzieć to zaraz jak małpa chcesz naśladować. Najpierw naucz się czytać, a nie stękaj. Jaka to litera? Przeczytaj jeszcze raz.

— De — odpowiedziałem znudzony.

— A ta?

— Zet.

— Następna?

— U.

— Nie u tylko wu. Gdybyś miał trochę inteligencji tobyś poznał. Jeszcze raz od początku.

— „D, Z, W, O, N, E, K wzywa nas do szkoły" — wystękałem wreszcie.

— A mówiłam ci nie wystawiaj języka jak cielę. Nigdy nie nauczysz się czytać i nie pójdziesz do gimnazjum. A jeśli cię tam z łaski przyjmą, to będziesz złym uczniem.

Spełnił się niestety pesymizm mojej siostry. Do gimnazjum się dostałem, lecz nie świeciłem tam dobrymi świadectwami. Wcześnie poznałem słodycz chodzenia na wagary i spędzania godzin w bezczynnej włóczędze po mieście.

Pamiętam jednego dnia lał deszcz. Kiedy rano uprzytomniłem sobie, że znowu siedzieć mi trzeba pięć godzin w zamkniętej klasie, że nadto tego dnia jest greka, matematyka, łacina, fizyka i zadanie niemieckie, a że nie ma ani gimnastyki, ani religii, ani rysunków, niechęć do szkoły wezbrała we mnie nieodparcie.

Zaziębienie? Nie kaszlę i nos mam suchy. Ból gardła? Niestety mama znała się na tym doskonale i nie pomogą żadne wybiegi. Po prostu nie zostało mi nic innego jak pójść za szkołę, w tym roku dopiero po raz pierwszy.

Książki zasunąłem głęboko pod szafę i pewno ich nikt nie znajdzie. Poświadczenie mamy za jeden dzień nieobecności mam jeszcze z przeszłego roku, a jest szczęśliwie bez daty. Znalazłem je zapomniane przez profesora w dzienniku klasowym. Byle mnie nikt nie spotkał na ulicy.

Siostry wyszły grzecznie pod starym parasolem ojca, czego się wstydziły, ale zależało im aby uchronić nowe kokardy we włosach. Przemknąłem się boczną ulicą na aleję Trzech Wieszczów koło Krakowskiego Parku.

Gdzie iść jednak? Wiatr z deszczem zacina, leje mi się za kołnierz, w bucikach chlupie woda. Niepodobna iść do Parku czy na Błonia. Może źle że poszedłem za szkołę?

Na dworcu kolejowym brudno, śmierdząco i nudno. Dobrze że wziąłem drugie śniadanie, bo przynajmniej nie będę głodny. Gdzie iść jednak? Do kościoła?

Przypomniał mi się Wawel. Wielki pusty gmach, gdzie pracują nieliczni robotnicy odnawiając sale, sienie, piwnice, gdzie swobodnie spędzić można pięć godzin włócząc się bezmyślnie lub bawiąc z rówieśnikami.

Dla tych wszystkich którzy wychowali się w Krakowie w latach odnawiania zamku, a którzy hołdowali brzydkiemu zwyczajowi chodzenia za szkołę wzgórze Wawelu było miejscem, gdzie spędzali skradzione nauce chwile.

Wawel! Wawel! Dla nas chłopców krakowskich wzgórze, zamek, katedra i wieże nie były nigdy zabytkowe i historyczne w sensie nietykalnych relikwij. To krewni z innych miast, obcy i przyjezdni szli odwiedzać tam pamiątki i pomniki, a myśmy na wzgórzu wychowali się, bawili i grzeszyli także. Łatwo było bowiem na Wawelu zarówno grzech popełnić jak i rozgrzeszenie dostać.

Góro wspomnień i góro życia polskiego! Gmachy twoje i pokoje, kościoły i wieże co roku odwiedzali Polacy na wiosnę z namaszczeniem i powagą, której krakowanie bynajmniej nie odczuwali. Na Wawelu fotografowali się pątnicy i turyści, prezydenci, ministrowie i cudzoziemcy z poważnymi minami jeśli składali wieniec, z wesołymi jeśli odbywali raut. Potem szli zwiedzać katedrę, zamek, Smoczą Jamę i snuli się na umęczonych nogach poprzez nawy, sale, kaplice, radzi kiedy skończyła się ta

oprowadzka pełna wieków, trumien i pomników. Nie rozumieli wiele z tego co widzieli, ale rozsyłali pocztówki z pozdrowieniami, a kiedy wrócili w domowe kąty wstydzili się przyznać że z Wawelu pamiętają jedynie równomierny głos przewodnika wodzącego ludzką trzodę. I górę która żyła, najpiękniejszą, najżywszą górę świata wspominali z podziwem kąśliwym, bo obca dla nich była i nieprzystępna.

A tymczasem Wawel miał życie własne, pełne, godne i ciekawe, do którego jednak nie dopuszczał dygnitarzy i delegacji z wieńcami. Miał swoje romanse, dramaty, procesy, spory i tajemnice, miał swoje interesa i interesiki, ambicje własne i własnych dwóch panów. Jednym z nich był arcybiskup Sapieha pan godny i wielmożny, drugim architekt Szyszko-Bohusz rządca mądry i niepodległy. Wokół nich, wokół kapituły i zarządu, wokół księży i świątników, wokół artystów, historyków i murarzy kręci się ostatnia historia wzgórza, którą nazwałbym intymną, a która czeka na swego dziejopisa. To byli reżyserzy przedstawień na wielką skalę, którzy posługiwali się dygnitarzami i publicznością z całego kraju, stwarzając przy tym anekdoty prawdziwie królewskie.

Gdy skończyła się pasterka i resurekcja lub częściej jeszcze gdy odjechały lśniące limuzyny, gdy za nimi dyskretnie wymknęło się małe auto wiozące nieodłącznych opiekunów naszych dygnitarzy, wracało życie na Wawel i śmiało się z próżności ludzkiej, a często i z głupoty. Odbijała się ona jak w krzywym zwierciedle w lśniących marmurach pałacu i w bronzach katedry.

Następnego dnia po uroczystościach rozpoczynały się zazwyczaj przeproszenia protokolarne. Pan wojewoda uczuł się obrażony że jego fotel podczas nabożeństwa był cofnięty o pół kroku, pana ministra oświaty nie rozpoznał woźny i wziął go za brata, podczas przemówienia dyrektora departamentu budowlanego o konieczności intensywnej pracy państwotwórczej robotnicy tłukli się na dachu i wreszcie przykra historia, która szczęśliwie nie miała konsekwencji. Oto w nocy pod potomkiem głowy państwa załamało się spróchniałe łoże empirowe i stłukł się przy tym bezcenny wazon. Niesłusznie centralne władze podejrzewały zamach. Specjalna komisja śledcza delegowana ze stolicy orzekła, że po prostu łoże nie wytrzymało dostojnego ciężaru.

Spotykałeś na wzgórzu ludzi wszystkich stanów i zawodów. Wyczółkowski szybkimi ruchami węgla po raz setny rzucał na papier widoki katedry, Leon Chwistek otoczony gromadą wielbicieli wykładał jak zgubną, jak niebezpieczną jest nawet filozofia Witkacego, Adam Bochnak wiódł gromadkę uczniów na wykład o stylu romańskim, Tadeusz Seweryn dyskutował z Sewerynem Udzielą a równocześnie Stanisław Świerz rozłożywszy do światła dziennego namiot turecki z XVIII wieku, zdobyty oczywiście pod Wiedniem targował jego cenę z księciem Radziwiłłem. Kasjerka panna Wandzia, dziewczę hoże w nieokreślonym wieku, miała zapłakane oczy bo porzucił ją piąty z kolei narzeczony wyłudziwszy od niej pensję. Więc postanowiła dać jeszcze jedno ogłoszenie matrymonialne do „Kurierka" tym razem naprawdę ostatnie i ślubowała świeczkę zapalić u ołtarza św. Tereski.

Wieczorem wśród traw i kasztanów za murami inne rozgrywały się widowiska, które dojrzeć było trudno bo cienie je otulały i tylko księżyc widząc je zza chmurki śmiał się bezwstydnie w noc majową.

Wzruszające wypadki zdarzały się na Wawelu. Na przykład historia małej Praksedy, która w okresie masowych wycieczek odwiedziła z gromadą dzieci katedrę i zasnęła przytulona do sarkofagu króla chłopków. Gdy obudziła się rano nie wiedziała biedna dziewczynka ukraińska, skąd jest i jak się nazywa. Nikt się po nią nie zgłosił i tak została sierotą. A dzieje starego świątnika, który zapałał miłością do marmurowego posągu królowej Jadwigi i wzdychał doń i stękał? A osobliwą chwilę w 1920 roku gdy zamurowano w piwnicach Wawelu ubogi skarbiec Banku Polskiego?

Miał Wawel poetę i barda swoich wypadków, starego cieślę Wojciecha Ćwika, krakowskiej dynastii Ćwików głowę i patrona. Zwano go Wątróbką dla odróżnienia od Wojtka Ćwika Rudego, ojca Stefki Kobiaszównej. Łaził Wątróbka po dachach Wawelu, znał wszystkie ich wiązania, leciał z nich sześć razy a nie spadł nigdy. Przebierano go w mundur gdy goście Wawel najeżdżali i obowiązkiem jego było stać przy bramie, po czym zalewał pałę bo napiwki rozumiał dosłownie. Śpiewał wtedy piosenki własnego układu o wypadkach wawelskich, z których najniewinniejsze powtórzę:

— Generał się schlał
A potem rzygał
I dostojny gość
Wawela miał dość

— Stary, stul gębę — wrzeszczała na niego żona — chcesz żeby cię przegnali?

Wówczas szedł gdzieś na strychy a stamtąd na dach pobijać krokwie i ryczał sobie a niebu:

— Naszli na katedrze dziewczę
Kanonicy rano,
Chodź to z tobą się popieszczę,
Jeśliś nie zaspaną.

Albo przygodę inżyniera Virobila, którego pod Wawelem okradziono gdy flirtował z robotnicą murarską, takim opiewał rapsodem:

— Na Wawelu pod kasztanem
Baranili się nad ranem
I leżeli w trawie równo
Pan inżynier z Jedlikówną.
Chodź że Pan już — mówi ona —
Bom jest rosą pomoczona.
Jakże pójdę kiedy diabli
Garderobę mi ukradli!

Tak to dla krakowian Wawel był miejscem nie pomp i uroczystości ale pogodnego i spokojnego życia. Tu zawsze spacer bywał miły, spotkanie przyjemne, tu czas upływał szybko, wzrok się upajał, umysł odpoczywał. Tu biedny cieszył się bogactwem, bogaty uczył się skromności.

Ma także Wawel w kronikach lat nieodległych zapisane wypadki ponure i nieprzyjemne. Intryg kilka i krzywd na nim dokonanych, morderstwo popełnione u jego stóp, samobójstwa bez celu. Ma dziwny spór o prochy królewskie, spór za którym stał potomek możnego rodu Rzeczypospolitej, który ścierpieć nie mógł myśli, że dawny stolnik litewski spocznie w katedrze krakowskiej.

Góro święta! Góro mściwa! Kto ciebie zapragnął, znieważył, sprofanował, zawsze bywał ukarany. Czy wyliczać tutaj różne przeklęctwa jakie oplotły się wokół dziejów twoich lat tysiąca? Że żaden biskup krakowski imienia świętego patrona Wawelu nosić nie może, jak również żaden król co to imię nosi na tronie polskim się nie utrzyma. Wiedzieli o tym Piastowie i pamiętały jeszcze Jagiellony.

Czy przypomnieć że tego kto za życia spocząć zapragnie w chłodnych podziemiach katedry, los potem ściga zawistny? Wyznaczył sobie miejsce i Leszczyński i Poniatowski i Piłsudski. Dwaj pierwsi nie spoczęli na Wawelu, trzeciemu wróg wartę honorową u grobu postawił na śmiech, na urągowisko narodowi.

Czy wspomnieć wreszcie, że świętokradcza i bluźniercza ręka czy myśl, które przeciw tobie zuchwalec podniesie karane bywają straszliwie od czasu tego złodzieja co skonał u stóp krucyfiksu Jadwigi. Kiedyś dominikanin ks. Paweł dokonał losu gdy każąc podniósł naukę przeciw Niepokalanemu Poczęciu i Świętym Pańskim, i obraził Patrona którego szczątki katedra przechowuje. Padł martwy na kazalnicy wśród mnogiego ludu, jako widomy znak wawelskiej siły. Koleją Opatrzności wygnanym został sromotnie z Wawelu i Wacław czeski i Karol Gustaw, jak mu ks. Starowolski wyprorokował. Kiedy szwedzki jenerał Stenbock sale zamku popalił, głowa ludzka z zawiązanymi ustami u stropu sali sejmowej zawieszona przepowiedziała mu że zgnije za życia, a gdy Prusacy zrabowali skarbiec koronny w 1794 roku wieść gminna niosła, że ten król pruski który nogę na Wawelu postawi spadnie z tronu, i sprawdziło się podanie na Wilhelmie. Więc wierzę że dosięgnie zemsta wzgórza i tych, którzy dzisiaj tam się panoszą, a dosięgnie dziksza i straszliwsza niż kiedykolwiek!

W ów dzień deszczowy i mglisty, gdy skradałem się ulicami miasta sale zamku puste i nieurządzone jeszcze, pociągały mnie swoim bezpieczeństwem.

W mgłach jesiennych wydawał się majestatyczniejszy i potężniejszy niż zazwyczaj. Na wieży Zegarowej młoty wybiły godzinę ósmą. Wieżę Zygmuntowską, Srebrnych Dzwonów, basztę Senatorską, Sandomierską, Złodziejską otulała mgła najdelikatniejszym welonem wilgoci, szmaragdowe zacieki na murach zostawiając. Dźwigała się przede mną w górę katedra, zarysowały mury pałacu, brama wjazdowa przywitała łacińską inskrypcją i rozweseliły lekkie krużganki podworca.

Godziny spędzać tu można było. Nie wiem kiedy nauczyłem się historii Wawelu, której ślady odkrywali robotnicy. Zapewne podczas zabaw i biegań po jego salach, gdyśmy tu bawili się w zbójów i żandarmów, w wojsko i w pliszki. Z tych czasów pamiętam jak w sali jadalnej po oderwaniu posadzki znaleziono kościotrupy skute łańcuchami, świadczące że za Zygmuntów jacyś więźniowie skonali tu śmiercią głodową. W lochu pod wieżą Duńską znajdowało się więzienie o czym świadczyły stare napisy ryte na tynku przez tych co siedzieli tam za heretyckie nowinki. Krętymi schodami koło Kurzej Stopy wymknął się nocą Walezy, dopadł koni i przez Zator ku Śląskowi umknął. Przy tym kominie mistrz Twardowski wywołał ducha Barbary, w tej sali Jadwiga umawiała się z Wilhelmem, a tu królowie polscy chodzili piechotą... „Nihil sine causa" głosił napis.

Jeszcze ciekawsze były prace na Wawelu. Właśnie tego dnia Szyszko-Bohusz stał u drzwi kuchen królewskich i dowodził wy-

kopaliskami. Ten małomówny a zaciekły Litwin, który pokochał Wawel całą duszą, który tu każdy kamień poznał i z każdego kamienia czytał jak z księgi przeszłość naszą, odkrywszy mury najstarszej świątyni polskiej, pilnował gdy kilku robotników przesiewało pokłady ziemi przez wieki naniesione na posadzkę kościoła stopami wiernych. Wyławiał z nich denary, paciorki, skorupy naczyń glinianych, kości, i porządkował wedle czasu i rodzaju.

Wokół pracujących zebrała się gromada gapiów takich jak ja, w mundurkach szkolnych, którzy woleli włóczęgę i lenistwo niż naukę i pracę. Tłoczyliśmy się, popychali nawzajem i przeszkadzali pracującym. Wreszcie zniecierpliwiony Bohusz mruknął do starszego majstra:

— A przegnać mi tych smarkaczy!

Pierzchnęliśmy jak ptaki przestraszone wystrzałem, i uciekliśmy przez bramę dziedzińca do dawnych ogrodów królewskich. Stary murarz wrzeszczał za nami nieparlamentarnym językiem, najpiękniejsze, najbogatsze przekleństwa polskie.

Antek Wolikowski miał piłkę. Więc mimo deszczowej pogody zaczęliśmy mecz rozgrywać na placyku pod basztą Sandomierską, w miejscu gdzie potoczyła się kiedyś głowa Samuela Zborowskiego, lecz zapewniam, że ten fakt historyczny w niczym nie ujmował naszej zabawie, wesela i przyjemności. Kopaliśmy szmaciankę z gałganów ukręconą i owiniętą w pończochę, kopaliśmy do siódmego potu i do chwili kiedy podeszwy zaczęły odstawać u butów. Było nas pięciu czy sześciu zalabowników, dusz straconych i grzesznych, leniów patentowanych z których na pewno nic dobrego nie wyrośnie, jak grzmiał ksiądz katecheta na kazaniu niedzielnym. Niektórzy palili papierosy z liści, mówili brzydkie wyrazy i w ogóle zachowywali się jak straceńcy pełni cynizmu. Wielki drab Staniejko, który u św. Jacka trzeci rok siedział w czwartej klasie, opuścił nas pierwszy ponieważ zobaczył dwie panny, do których postanowił się podwalić. Antek poszedł z nim i w ten sposób mecz został przerwany. Połowa czasu szkolnego upłynęła. Na wieży biła godzina jedenasta.

Czy wiedziałem, że zbliża się najosobliwsza godzina mego dzieciństwa?

Powlokłem się dalej, głodny niestety, bo mi któryś z chłopców buchnął śniadanie z płaszcza, gdy ten leżał złożony zamiast słupa bramki.

Znowu zaczął padać deszcz i postanowiłem wstąpić do katedry, by przełazić tam godzinę i wrócić do domu. Przed grobem świętego Stanisława przeżegnałem się pobożnie, prosząc aby nic złego nie wyniknęło z faktu że jestem za szkołą. Bo gryzło mnie sumienie, wówczas jeszcze nie stępione na grzech.

Pusto było i cicho w świątyni. Mrok panował tutaj jesienny i gobeliny wiszące pod sklepieniem wydały mi się bledsze, a pomniki bardziej tajemnicze i królewskie. Przyjrzałem się kracie kaplicy Wazów, na której ciężkie sploty ornamentów wiją się wśród szkieletów i symbolów śmierci, zajrzałem do jasnej kaplicy Zygmuntowskiej, spróbowałem wyjść na chór muzyczny ale był zamknięty. W ołtarzu cudownego Pana Jezusa dojrzałem strzemię wielkiego wezyra zawieszone przez Sobieskiego i buńczuki tureckie, i wreszcie znalazłem się pod drzwiami zakrystii.

Tu kanonik Ślepicki rozmawiał żywo ze starym świątnikiem Świdrem.

— Ja księże kanoniku sam z Walasem rady nie dam, a ludzi do wojska pobrali. I jeszcze na rezurekcyjny ton?

— Książe biskup nakazał.

— Ale książe biskup wi, że nawet do posługi w niedzielę ludzi nie najdzie. Może na popołudnie zwołam kogo.

— Nie, trzeba zaraz, teraz, rano.

— No to chyba że Walas jakisich chłopaków przyprowadzi. Trza zapłacić.

— Niech będzie, ale zaraz trzeba.

Już miałem odejść kiedy nagle stary kościelny położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

— Chcesz se zarobić szóstkę?

— A co mam robić?

— Juści że nie w nosie dłubać! Chodź pomożesz mi.

W tej chwili przyszedł Walas z gromadą chłopców naprędce zwołanych. Byli między nimi uczniowie jak ja i kilku pomocników murarskich wypożyczonych z Zarządu odnowienia zamku.

Weszliśmy do zakrystii, a stamtąd w boczne drzwi na wieżę Zygmuntowską prowadzące. Teraz wiedziałem, że idziemy dzwonić, ale jeszcze nie byłem pewny czy w mniejsze dzwony czy w samego Zygmunta.

Przez kręcone kamienne schody wyszliśmy na pierwsze piętro wieży, gdzie zaczynała się jej ciesielska konstrukcja. Wielkie z puszczy niepołomskiej dęby, kiedyś wycięte na chwałę króla, splatały się tutaj w gąszcz belek, bierzm, krokwi, przenikały się wzajemnie, wspierając wieżę. Wiał silny wicher i lekko ruszały się w spojeniach. Ich moc była większa niż wszystkie burze, które przeciągały nad Wawelem. Chodziły miarowo pod wiatr, ale nie puściły ich kliny i zaciosy. Na pierwszym, drugim i trzecim piętrze wisiały mniejsze dzwony, dary biskupów i możnych panów. Niektóre pęknięte, miały zawiązane serca i były martwe i nieme.

Belki rzedniały, schody stawały się coraz trudniejsze, aż nagle wyprowadziły do izby jasnej i obszernej, której środek był wolny a boki zajęte przez grube słupy dębowe wspierające konstrukcję.

Na środku wisiał Zygmunt. Płaszcz dzwonu zielenił się patyną spiżu, a wewnątrz kielicha ciężkie żelazo wisiało na białej skórze byczej. Za dwa skrzyżowane ucha czepiono dzwon do osi, której czopy padały na żelazne łożyska tam gdzie je majster norymberski wkuł przed wiekami. A na dzwonie wielomówny napis:

„Bogu Najlepszemu, Największemu i Dziewicy Bogarodzicy, Świętym Patronom swoim, znakomity Zygmunt król Polski, ten dzwon umysłu godny i czynów swoich sporządzić kazał".

Do osi dzwonu przytwierdzona jest rama-huśtawa. Z niej zwisają sznury. Za sznury ciągną dzwonnicy, powoli rozkołysując dzwon.

— Czepcie się sznurów chłopcy i ciągcie w dół. Ja sercu bieg nadam — komenderował Świder.

Z powagą ujął serce, popróbował jak idzie, a potem puścił lekko w ruch. My za węzły uchwyciwszy sznury, ciągnęliśmy z całych sił. Oś ruszyła ze zgrzytem.

— Ho ha, ho ha! — komenderował do taktu Świder.

— Dzwon stracił równowagę, pochylił się i wrócił na miejsce.

— Ho ha!

Znowu pociągnęliśmy, a on jakby bronił się przed zachwia-

niem, przed skłonem. Lecz tym razem nie stanął w martwym punkcie osi, ale minął go i w przeciwną poszedł stronę. Serce zbliżyło się do kielicha.

Znowu wysiłek i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż do bólu rąk tartych przez sznury i wreszcie poczuliśmy, że zaczyna chodzić.

Uderzył!

Łomot powstał na wieży i zatkał dech w piersiach. Kto pierwszy raz z bliska usłyszy jego głos doznaje oszołomienia. Przywarłem w lęku przy ziemi, że może zwali się wieża od tego grzmotu, ale czasu nie miałem się zastanowić bo oto dzwon szedł na moją stronę i poderwały mnie sznury wysoko, aż pod okno przez które zobaczyłem Kraków.

I znowu grzmot uderzył a huśtawa opuściła się w dół i łoskot wzrósł.

Potem zaczął lżej chodzić a głos stał się potężniejszy. Połączył uderzenia serca jeden dwurytmiczny dźwięk, srebrem i spiżem bijący, wstrząsający wieżą, jej wiązaniem i nami.

Jak pierś co oddycha wznosił się i opadał, a jego żelazne serce biło coraz szybciej. Belki dygotały od tego głosu, spojenia trzeszczały, sztaby w oknach drżały leciutko, jakby prąd elektryczny przez nie przebiegał a nas dzwonników improwizowanych dzwon unosił w górę i rzucał na dół.

Od czasu do czasu głowę pochyliwszy podbiegał świątnik pod serce i regulował jego uderzenie. Przyspieszał mu rytmu, coś oznajmiając miastu. Wtedy myśmy silniej pociągali sznury, nadając ton weselny dźwiękom.

Spojrzałem przez okno w dół i zobaczyłem ulice na których przechodnie stawali zdziwieni. Mgła opadła nagle, deszcz ustał, rozjaśniło się niebo i blade słońce jesienne odbiło się promieniami w Wiśle.

— On zawsze chmury rozbije i rozpędzi — powiedział świątnik.

Z okien podwawelskich domów wychylali się mieszkańcy i poglądali ku wieży. Potem zamykali okna, szli na ulice i skupiali się w gromadki.

Zygmunt bił bez przerwy. Na miasto rozszedł się jego głos potężny i silny, wilgocią powietrza wzmocniony, aksamitny w wybuchach dźwięku.

A myśmy ciągnęli za sznury, uginali kolana i podlatywali. W miarę jego rozkołysania, w miarę dźwięków bijących z Wawelu, coraz więcej krakowian wychodziło z domów. Widziałem jak dążyli ku Rynkowi.

— Coś się stało — pomyślałem — ale co?

Tu nikt nic nie wiedział. Świder i Walas od rana zajęci czyszczeniem ołtarzy, nie umieli nas objaśnić, ani nie wiedzieli studenciki takie jak ja dlaczego dzwonimy, ani owi murarczykowie.

Nie mógł Zygmunt zwiastować miastu żadnej nowiny smutnej, bo jego gra była wesoła, szybka, pogodna.

— Rezurekcyjnie bić nim chłopcy, jak na Zmartwychwstanie Pańskie!

Więc czepiliśmy się węzłów silniej, nogi w pętle włożyliśmy głębiej i dalej kołysać huśtawę dzwonu, niechby z osi wyleciał, wyskoczył z wieży choćby! Biło z siłą ogłuszającą serce i tony wybiegały coraz piękniejsze.

Potem świątnicy dali znak. Rozkołysany dzwon szedł sam. Myśmy odstąpili i patrzyli na niego dumni i zadowoleni z pracy.

Kiedy po raz pierwszy serce zawahało się w ruchu, czepił się go Świder i porwany zawisł z podkurczonymi nogami. Nie śmie bowiem serce uderzyć niepewnie w rozdźwięczony spiż, bo grozi to pęknięciem kielicha. Siły trza było aby mocować się z tym żelazem bujającym, które uderzyć chciało dalej.

Dzwon ucichł.

W uszach szumiało nam, twarze pałały. Teraz dopiero usłyszałem, że grają dzwony wszystkich kościołów krakowskich. Bił Półzygmunt na wieży Mariackiej, kołatał Jacek u Dominikanów, Florian na Kleparzu, Boże Ciołki na Kazimierzu, dzwony jezuickie na Wesołej i parafialny w Podgórzu.

Gdy Zygmunt ustał, cichły powoli i one.

Świątnicy gadali między sobą.

— Mariackie dzwony też kończą.

— Podgórski dźwięku nima.

— Na Piasku jeszcze grają.

Zbiegłem na dół. Miasto wyległo na ulice, a gdzieś od Wiślnej słychać było orkiestrę idącą ku Rynkowi.

Tam tłumy skupiły się pod wieżą Ratuszową, w jedynym miejscu gdzie warta austriacka oznaczała przynależność Krakowa do monarchii Habsburgów. Orkiestra kolejarzy stała przed odwachem i grała wesołe marsze.

Nagle z ulicy Grodzkiej sprężystym krokiem wkroczyła kompania wojska, wojska polskiego! Na jej czele szedł generał Roja, witany okrzykami tłumów, wśród kwiatów jesiennych rzucanych mu z okien.

Na czapkach mieli kokardy narodowe w nocy tajnie uszyte, bączki zamienili na orzełki z blachy, buty i mundury mieli liche, a karabiny pordzewiałe. Ale miny mieli tęgie, choć młodzi byli i wzrostem mali. Stanęli kompanią przed odwachem.

Gdy hejnał na wieży Mariackiej grał godzinę dwunastą, gdy orkiestra rżnęła hymn narodowy, gdy chorągwie biało-czerwone wykwitały na domach, gdy ludzie płakali i nieznajomi ściskali się za ręce, rozległy się głosy komendy polskiej, a warta Deutschmeisterów stanęła na baczność.

Stali ci styryjczycy i tyrolczycy, chłopy barczyste i odpasione przed nami ponuro prezentując broń, w chwili gdy ich dowódca oddawał Roji szablę i patrzyli nienawistnie na kompanię chłopców, w ręce której składali swą władzę.

Czepiony kraty odwachu widzę jeszcze złe błyski w ich oczach, gdy spadał żelazny dwugłowy orzeł Habsburgów i pękł na dwoje, i widzę ciągle ich złość gdy biały jednogłów zawisł u szczytu.

Wojsko polskie zaciągnęło wartę. Tłumy wyły.

W tej chwili poczułem, że ciągnie mnie ktoś za nogę. Odwróciłem się i z przerażeniem dojrzałem ojca stojącego z panem Bobrzyńskim.

— Cóż tu robisz? Poszedłeś za szkołę?

Próbowałem się wykłamać ale nie szło. Wreszcie zacząłem bąkać zdyszany:

— Byłem na Wawelu. Dzwoniłem w Zygmunta.

Niespodziewanie ta wymówka zrobiła na nich wrażenie. Bobrzyński powiedział:

— To go usprawiedliwia panie Stanisławie, ale w skórę powinien dostać, tak jakeśmy mówili.

Śmiejąc się wziął mnie ojciec za kark i bijąc tak silnie, że czułem to boleśnie powiedział:

— Starym krakowskim zwyczajem biję ci w skórę na Rynku, nie dlatego żeś poszedł za szkołę, ale żebyś pamiętał ten dzień!
Dzień był 31 października 1918 roku.

JULIAN TUWIM

Z KWIATÓW POLSKICH

Nie miałem serca dla Warszawy,
Gdy opuszczałem miasto Łódź,
Polami sunął zmierzch zmurszały,
Pogrzebem w mgłę się pociąg wlókł,
Drogę mą w przyszłość zawieszały
Kotary ciężkich, starych dum,
Strach stukał we krwi, przemieszany
Z usypiającym stukiem kół,
A powróz wspomnień, mokry, szary,
Taszczył za sobą miasto Łódź,
Szedł brzęk żałosny przez obszary:
Nie Łódź, łódeczkę ciągnął sznur
I pociąg trząsł się jak blaszany,
Dziecinny śród dorosłych dróg
I zabierałem do Warszawy
Maleńki światek snów i zmór:
Te dwie, olbrzymie niegdyś, szafy,
Gobelin płowy, zegar, stół,
I gimnazjalnych klas koszary
I ulic kurz i fabryk mur
I nieba łachman strupieszały
I złote na nim gwiazdy złud
I po podwórzach bieg zdyszany
W poszukiwaniu gór i burz —
I już mnie z Łodzi do Warszawy
Nie pociąg, lecz karawan wiózł,
I jak żałobnych wieńców szarfy
Zwisały strzępy trosk i trwóg:
Że jestem biedny i myszaty
I że w mieszkaniu będzie szczur,
Że ojciec coraz dalszy, starszy,
I jak ja przejdę przez ten grób?
Że matka roi swe koszmary
I wciąż nad trwożną krąży kruk;
Że Ira płaszczyk ma zwiotczały
I kreskę krzywdy w kątku ust
Że nie podołam sam wierszami
Kamienie lepiej w Łodzi tłuc,
I poco jechać do Warszawy?
Ach, wrócić, wrócić na twój próg!
I w oczu twoich ciepły szafir
Wtopić swój los i ból i trud!
I oto żalu depeszami
Telegraficzny szarpię drut,
A tobie w kinie lśniący szatyn
Wgaduje w uszko rychły ślub,
Silnemi łudzi rozkoszami

I rwie płaczące druty strun.
A szyby plami deszcz szurszawy
I pociąg sapie w szumie chmur
I oszalałe widm orszaki
Podnoszą się ze słotnych pól —
— Tak dojechałem do Warszawy,
Gdy opuściłem miasto Łódź.

STEFAN THEMERSON

WYKŁAD PROFESORA MMAA*

ROZDZIAŁ VI

Zawieszony w górze wielki zegar biochemiczny, będący chlubą Akademii, jako że w ciągu wszystkich wieków jej egzystencji nie spóźnił się ani nie pospieszył ani razu, starzejąc się równomiernie z jednego końca i odradzając z drugiego, zaintonował był już przed dobrą chwilą swego staroświeckiego kuranta dyskretnymi zapachami, nagromadzonymi w nim w ciągu ostatniej godziny.

Lecz prof. Mmaa wciąż widać nie było.

To nie mogło nie irytować prof. Ducha, który zjawiał się w audytorium jedynie przez kurtuazję. Kto wie, czy w przyszłym miesiącu wykładu inauguracyjnego nie będzie miał właśnie prof. Duch i czy prof. Mmaa nie przyjdzie przez kurtuazję na wykład prof. Ducha?



Obok katedry, w wylustrowanym kręgu posadzki, wystawiony był szereg eksponatów, przywiezionych przez inż. Lukullusa Savarina i dra Ćwierciakiewicza z wyprawy na osiedle homo. Nie wolno było oczywiście eksponatów tych smakować, ale można je było dowoli wąchać, dotykać antenkami, opromieniowywać własnym ciepłem, rejestrując równocześnie jego odbicie, można było do nich mówić, nasłuchując równocześnie echa, ba! można było nawet je oglądać w fluoryzującym czy fosforyzującym jaśnieniu, gdyby oglądanie prowadziło do jakichś interesujących spostrzeżeń.

Główne miejsce wśród eksponatów zajmował *włos*. Włos był grubszy od halabardy żołnierza i posiadał długość kilku dorosłych osobników, stojących jeden za drugim antenką w abdomen.

— Przeciętny homo—rzekł tonem objaśniającym inż. Lukullus Savarin do grupy otaczających go osób — przeciętny homo posiada około stu pięćdziesięciu tysięcy takich włosów a wszystkie one rosną na jego ciele życiem samodzielnym, na podobieństwo roślin, zwanych cebulkowatymi.

— Czy homo sieje je świadomie? — spytał niejaki Niebylejaki, słuchacz pierwszego miesiąca.

Niebylejaki był przedtem na wydziale inżynierii, ale po dwóch miesiącach poczuł, iż prawdziwym jego powołaniem nie jest budowa a wiedza, i

* *W którym mowa jest o tajemniczych właściwościach cyfry cztery, o abdomenach wyskokowy o tym jak prof. Mmaa próbował przybrać pozycję wertykalną oraz o świętojańskim robaczku jako narzędziu badań naukowych.*

przeniósł się na filozofię. Po miesiącu filozofii jednak, zorientowawszy się, że była ona także budowaniem, mianowicie budowaniem z niczego w niczem, postanowił rzucić wykłady prof. Ducha i przenieść się na wydział nauk ścisłych, na wydział przyrodniczy przede wszystkim. Stawszy się słuchaczem prof. Mmaa, zyskał sobie odrazu respekt uczonego dzięki odwadze wypowiadania swych przekonań i dzięki ambicji rozgryzania zagadnień do samego sedna.

— Czy homo sieje je świadomie? — powtórzył Niebylejaki.

— Radzę panu nie szafować zbytnio słowem świadomie w odniesieniu do mammiferów — rzekł ostrzegawczo stojący obok prof. Duch.

— Dlaczego? — spytał Niebylejaki.

— Radzę panu dlatego, ponieważ posiadam więcej doświadczenia i chciałbym, żeby z niego pan korzystał.

— Ja nie pytałem, dlaczego pan profesor mi radzi — rzekł Niebylejaki — ale dlaczego mam unikać słowa świadomie w odniesieniu do mammiferów.

— Gdyby pan kontynuował uczęszczanie na mój wydział — powiedział prof. Duch — dowiedziałby się pan, że mammifery nie są stworzone na podobieństwo boskie i nie mogą zatem posiadać świadomości w tym sensie, jaki my nadajemy temu słowu.

— Ja w ogóle. . . — zaczął Niebylejaki.

Prof. Duch przerwał mu jednak natychmiast:

— Pan w ogóle jest jeszcze bardzo młody. Ale to dobrze!

Niebylejaki nie odrzekł nic, lecz bezzwłocznie i ostentacyjnie zanotował w karnecie, który nosił zawsze w swej pamięci:

„1) *zbadać czy homo wogóle sieje włosy, ew. czy je sadzi*;

2) *jeśli tak, czy czyni to świadomie*;

3) *czy kwitną i jeżeli tak, to jak*;

4) *czy można znaleźć pożywkę dla sztucznego hodowania ich w osiedlu, ew. na zewnątrz osiedla*;

5) *czy obcięte odrastają i, jeżeli tak, jaką przedstawiają sobą wartość*".



Notatkę czwartą schował bardzo skrzętnie, ponieważ wzmianka o hodowaniu czegokolwiek na zewnątrz abdomenu zapachnieć mogłaby w czyimś niepowołanym powonieniu owymi zabronionymi ideami, które tak wietrzył wszędzie Drugi Asystent prof. Ducha.

Biochemiczny zegar, zawieszony w audytorium starzał się z jednego końca i odradzał z drugiego. Prof. Mmaa wciąż nie nadchodził.

— A oto — rzekł inż. Savarin, wskazując na wielki *płat substancji rogowatej* — oto fragment naturalnego oręża homo. Każde homo posiada takich oręży dwadzieścia, po pięć na każdej z czterech kończyn.

Prof. medycyny sądowej dr. Arsen wąchał uważnie eksponaty.

— Czy ślady właśnie tego oręża — spytał — stwierdzono w ciele owego osobnika horyzontalnego, znalezionego przez pana, panie inżynierze, w podziemiach homobudowli?

— Nie — odrzekł inż. Savarin — nasz Homoosobnik posiadał wprawdzie kończyny uzbrojone, mogliśmy nawet stwierdzić, że robił z nich użytek, ponieważ znaleźliśmy pod płatami masy rogowatej ślady naskórka i krwi należącej do innej grupy niż ta, do której należał homoosobnik

znaleziony, on sam jednak posiadał w sobie ślady oręża innego, a mianowicie utkwioną w pompie sercowej tę oto masę pochodzenia nieorganicznego. . . — i inż. Savarin wskazał antenką *eksponat nr.* 3.

— W jaki sposób dostała się ta masa do pompy sercowej? — spytał Niebylejaki.

Inżynier zastanowił się chwilę.

— Hm. . . To są szczegóły, nad którymi się nie zastanawiałem. Sądzę, iż prof. Mmaa mógłby pana ciekawość zaspokoić. Nie jest wykluczone, iż masa ta została wyrzucona przez innego homoosobnika, tak jak substancja antymrówcza wyrzucona zostaje przez naszych halabardników należących do polimorficznej deformacji lanslepu.

Dr. Arsen nachylił się i badał uważnie eksponat.

— Konstatuję — rzekł — obecność śladów substancji chemicznej, podobnej do tej,którą zniszczony został szereg naszych budowli napowierzchniowych. Jedno z dwojga: albo homo wyrzuca ciała takie jak eksponat nr. 3 dzięki zdolności kompresji i nagłego zmniejszania ciśnienia, albo też dzięki zdolności gwałtownego utleniania pewnych substancyj przy równoczesnym produkowaniu olbrzymiej ilości spalin zwiększających ciśnienie; czy sądzi pan, panie inżynierze, że procesy te odbywają się w płucach czy w abdomenie? W pierwszym wypadku homo wyrzucałby eksponaty za pomocą jamy gębowej, w drugim zaś za pomocą jamy abdominalnej, zwanej odbytnicą.

Inż. Savarin, wskazując gestem, że rozstrzygnięcie tej kwestii przekracza jego kompetencje, spytał:

— Czy pan doktór sądzi, że moglibyśmy tę metodę zastosować przy polimorficznej hodowli naszych halabardników?

Niebylejaki mierzył antenkami eksponat nr. 3, przeprowadził błyskawicznie kalkulację w myśli i rzekł:

— Nie! To jest niemożliwe! Jeśli my jesteśmy lżejsi od homo sto tysięcy razy to i nasz eksponat powinien być lżejszy od eksponatu homo sto tysięcy razy. A ponieważ eksponat homo by przebić homoskórę i wedrzeć się do pompy sercowej musi być wyrzucony z szybkością około sześciuset metrów na sekundę, to nasz eksponat w tym samym celu musiałby posiadać szybkość sto tysięcy razy większą, to znaczy sześćdziesiąt tysięcy kilometrów na sekundę. A ponieważ, dalej, skóra naszych halabardników jest conajmniej pięć razy odporniejsza od homoskóry, więc szybkość ta musiałaby być też pięć razy większa i równałaby się szybkości promieniowania świetlnego, co jest według teorii względności profesora Alberta niemożliwe.

— Obliczenie dokonane przez Pana — rzekł z emfazą prof. Duch — mogłoby być doskonałym dowodem przeciwko teorii względności. Pan go jednak używa jako dowodu przeciwko możliwościom rozwoju naszych sił halabardniczych. Fe.!

Dr. Arsen jednak podał antenkę Niebylejakiemu i powiedział:

— Nie jestem pewien, czy dane pańskie są ścisłe, pomija pan bowiem równoczesne zmniejszanie się powierzchni oporu, ale winszuję panu, panie kolego, bystrości umysłu.

Biochemiczny zegar, zawieszony w audytorium wciąż starzał się z jednego końca i odradzał z drugiego. Prof. Mmaa nie nadchodził.

— A co to takiego. . . — zaczął Pierwszy Asysten prof. Ducha, krążący już od dłuższego czasu wokoło dziwnego eksponatu, połyskującego blado w płynącym z góry fosforyzującym jaśnieniu. — A co to takiego. . . — zaczął Pierwszy Asystent prof. Ducha, lecz zaraz się poprawił: — A jakie szczegóły, panie inżynierze, związane są z tym eksponatem, oznaczonym numerem czwartym? Pochodzi on, jak wszyscy wiemy, z homogłowy przypuszczam.

— Być może — odrzekł inżynier — znaleźliśmy go jednak nie wewnątrz homociała a na zewnątrz, i. . .



— To niczego nie dowodzi, — przerwał Pierwszy Asystent prof. Ducha — mógł on być wypchnięty przez ów eksponat numer trzy.

— Eksponat numer trzy znaleźliśmy w homopompie sercowej a nie w homogłowie — zauważył inżynier.

— Powiedziałem przecież właśnie, że wszyscy wiemy, iż eksponat numer cztery pochodzi z pompy sercowej i przypuszczam, ale nie chcę mej hipotezy nikomu narzucać, że znalazł go pan inżynier na zewnątrz homociała, ponieważ został on wypchnięty przez eksponat numer trzy.

— Bardzo interesująca koncepcja — rzekł dr. Arsen, wąchając eksponat numer cztery.

Eksponat numer cztery był stosunkowo niski, okrągły, posiadał średnicę równą długości jednego osobnika dorosłego. Nie był zgryzalny. Przewodnictwo elektryczne miał znikomo małe. Powierzchnię odbijającą doskonale promieniowanie świetlne, cieplne i akustyczne. Mniej więcej w środku posiadał cztery dziurki, także mniej więcej okrągłe.

— Poza zapachem homo — rzekł dr. Arsen — konstatuję ślady zapachu celulozy.

— Słusznie — rzekł z szacunkiem inż. Savarin — Ślady zapachu pochodzą od włókien celulozowych, które umieszczone były w każdym z czterech otworów jak też i na powierzchni eksponatu, pomiędzy otworami. Zaznaczam przy tym, iż eksponat znajdował się na pewnego rodzaju plecionce z włókien będących niewątpliwie produktem larw motylich i że wspomniane wyżej włókna celulozowe przeplecione były pod eksponatem przez wymienioną plecionkę, która znajdowała się na homociele. Dodam jeszcze, że stwierdziliśmy obecność czterech eksponatów takich jak ten.

— Czy nie *to* jest właśnie — zawołał Niebylejaki — ów bąk, ów poszukiwany od dawna ośrodek girostatyczny, utrzymujący homo w jego wertykalnej równowadze chwiejnej?

— Znalezione przez nas zwierzę było horyzontalne — przypomniał inżynier.

— To niczego nie dowodzi! — wykrzyknął Niebylejaki, lecz w tej chwili prof. Duch uciszył go skinieniem głowy i rzekł:



— Cztery! Sądzę, iż nie uszła uwagi państwa owa cyfra: cztery! Jakżeż często się powtarza: cztery! Cztery litery: H O M O, cztery kończyny — homo. Homodom posiada cztery kąty dolne i cztery kąty górne, cztery kąty lewe i cztery kąty prawe, cztery kąty przednie i cztery kąty tylne. Ile filarów posiada przedmiot do regeneracji? Cztery! Ile filarów posiada przedmiot do przybierania pozycji złamanej? Cztery. A przedmiot o poziomej płaszczyźnie ze skrzynką na czterorożne arkusze celulozy? Cztery. Ile jest w ogóle homoosobników na Ziemi? Dwa miliardy — więc liczba podzielna przez cztery. Ile włosów posiada przeciętny homo? Sto pięćdziesiąt tysięcy? Więc podzielne przez cztery. Ile oręży kostnych w jamie ustnej? Trzydzieści dwa? Więc podzielne przez cztery! Ile oręży zrogowaciałych na czterech kończynach? Dwadzieścia? Więc podzielne przez cztery. Gdzie się nie obrócić, wszędzie spotykamy cyfrę Cztery. I oto wreszcie cztery tajemnicze eksponaty numer cztery, z których każdy posiada cztery otwory.

Po co są te otwory? Na co są te otwory? — zadają państwo pytania. Pan inżynier odpowiada, że zawierały włókna celulozowe. I cóż nam to mówi: włókna celulozowe!? Słuchamy: włókna celulozowe, a pomijamy tę rzecz esencjonalną: *cztery*! W tej cyfrze, która z takim uporem powtarza się u homo, w tej przedziwnej tajemniczej, a kto wie czy nie mistycznej czwórcy szukać należy rozwiązania homozagadnień.

Cała sala zgromadziła się wokoło prof. Ducha i słuchała słów jego z podziwem i zachwytem.

Ale Niebylejaki rzekł:

— Panie profesorze, jeżeli pan profesor uważa cyfrę cztery za mistyczną dla homo, czyli religijną, i równocześnie odmawia mu pan profesor świadomości, to znaczy że religia nie jest dziełem świadomości. Jeżeli nie jest dziełem świadomości, to jest dziełem albo podświadomości albo nieświadomości. Znając poglądy pana profesora na teorię dra Durchfreuda sądzę, że pan profesor uważa raczej, iż jest ona dziełem nieświadomości. Jeżeli zaś Akademia jest przybytkiem nauki, nauka zaś dziełem świadomości, to religia, będąc dziełem nieświadomości, może być tylko przedmiotem nauki a nie nauką jako taką.

— Czy skończył pan już, mój młody panie kolego? — spytał prof. Duch.

— Tak, panie profesorze.

— Więc niech pan pozwoli, mój młody panie kolego, żebym po pierwsze zwrócił panu uwagę, iż nie mówi się „*jako taką*"; po drugie zaś, że, gdyby słuchał pan uważnie tego co mówię, to zrozumiałby pan, tak jak wszyscy inni obecni tu słuchacze, bez dodatkowych wyjaśnień, iż nie twierdziłem bynajmniej, że mistyka czwórcy jest dziełem homoosobników, istot pozbawionych własnej świadomości i poruszających się instynktownie, lecz, przeciwnie, miałem na myśli, że to one, owe homoosobniki są dziełem czwórcy tajemniczej, mistycznej i ze wspaniałą powtarzającej się natarczywością. Jeśli to wyjaśnienie, które jest wyjaśnieniem najdoskonalszym, metafizycznym, ostatecznym, jedynym które nie wymaga dalszych dociekań i badań, nie odpowiada panu, to jakież znajdzie pan inne rozwiązanie owej cyfry cztery w ogólności i czterech dziurek jednego z czterech eksponatów numer cztery — w szczególności?!

Prof. Duch zawisł w efektownym oczekiwaniu, ale Niebylejaki milczał. Przez chwilę wydawało mu się, że wie, że dojrzał nagle rozwiązanie zagadki czterech dziurek, ale równocześnie jakby go oślepiło to rozwiązanie, swoją prostotą być może, i myśl, ledwo musnąwszy świadomość, znikła nim zdołał ją uchwycić. „To nie była myśl — powiedział sobie Niebylejaki — to była intuicja. Gdybym był poetą, potrafiłbym może ją zafiksować, ale wtedy — dopiero nikt by mnie nie zrozumiał".

I Niebylejaki rzekł:

— Nie wiem, jakie znaczenie mają cztery dziurki, ale wolę nie wiedzieć niż wierzyć. A poza tym nie wiadomo, czy kiedyś nauka ścisła nie rozwiąże tych zagadnień, które dziś są dla nas czymś nieznanym.

— Każde — rzekł prof. Duch — każde, powtarzam, rozwiązane przez naukę ścisłą zagadnienie, wysuwa setkę nieprzeczuwanych w przód zagadnień nowych, i w ten sposób, w miarę rozwoju nauk ścisłych, *niewiedza* nasza się jedynie powiększa.

Biochemiczny zegar, zawieszony w audytorium, wciąż starzał się z jednego końca i wciąż odradzał się z drugiego. Prof. Mmaa nie nadchodził. Niebylejaki wysunął się z grona otaczającego eksponaty, wyszedł z audytorium do przedsionka, przebiegł prędko korytarz i stanął w głównym tunelu.

Nieliczni przechodnie spieszyli w lewo i w prawo. Młodzi studenci pierwszego miesiąca, uczepieni stropu korytarza, pluli zręcznie w kierunku tunelu, celując w abdomeny przechodniów. Konstabl, stojący pod nimi,

rozglądał się bezradnie, korytarz bowiem należał także do terenu Akademii, cieszącej się autonomią uniwersytecką.

W barze naprzeciw, biomechaniczna efemeryda agencji hawasa nerwowymi mackami gestykulowała szybko ostatnie wiadomości:

„W co miesięcznych królewskich wyścigach pcheł pierwsze miejsce uzyskał tak zwanym fuksem ‚Apollo' ze stadniny księcia Sankuszko, przeskakując o dwie grubości ‚Markizę' ze stadniny Związku Urzędników Państwowych".

„Międzyakademicki mecz plwacki. Wynik drugiej rozgrywki drużyny reprezentacyjnej Wyższej Szkoły Nauk Politycznych z drużyną reprezentacyjną Wyższej Szkoły Gospodarstwa — sześć i pół grama plwociny przeciw sześciu gramom, na korzyść Wyższej Szkoły Nauk Politycznych".

„Biuletyn zdrowia Królowej. Po wizycie dra Durchfreuda wynikła arythmia skurczów jajowodu ustała. Puls i temperatura zadawalające. Liczba jaj w ciągu ostatniej godziny niezmniejszona. Stan zdrowia Królowej nie jest niepokojący".

„Uczonym zaprzyjaźnionego osiedla, pracującym od trzydziestu ośmiu pokoleń nad nową metodą polimorficzną, udało się wyprodukować ze zwykłego jaja nowy typ halabardnika. Cechą charakterystyczną tego osobnika, który żyje już od siedmiu dni i cieszy się najlepszym zdrowiem, są trzy rogowate głowy, które można łączyć ze sobą bądź to szeregowo, potrajając w ten sposób napięcie ataku, bądź też równolegle, potrajając natężenie oporu. Bioproduktowi wynalazcy dali nazwę Cerber. Bliższe szczegóły trzymane są w tajemnicy. Nie wiadomo też czy nowa metoda nadaje się do produkcji seryjnej".

Niebylejaki stał na środku tunelu i rozglądał się w lewo i w prawo. Lecz ani z lewej ani z prawej strony a tuż przed nim, naprzeciw, w wyjściu z baru, ukazała się nagle postać prof. Mmaa, podtrzymywanego przez dra Durchfreuda.

Niebylejaki podbiegł szybko:

— Co się stało? — spytał zaniepokojony, ponieważ obaj słaniali się na nogach.

— Nic, nic, nic, panie kolego — uspokoił go prof. Mmaa.



Dr. Durchfreud ciągnął siłą profesora, który opierał się chwiejnie.

— Widzisz Mmaaś,—mówił Durchfreud—widzisz Mmaaś, ja jestem durchfreudysta. Kto mi zaprzeczy, że jestem durchfreudysta? Nikt. Ergo: jestem durchfreudysta. I w konstytucji nie jest napisane, że nie wolno być durchfreudystą. Ergo: wolno być durchfreudystą. I w konstytucji nie jest napisane, że durchfreudyście nie wolno mieć kompleksów. Ergo: durchfreudyście wolno mieć kompleksy. Gdybyś chciał, Mmaaś, żeby durchfreudyście nie wolno było mieć kompleksów, to jakbyś chciał, żeby architektowi nie wolno było mieć mieszkania. Architekt ma prywatne mieszkanie, a ja mam prywatne kompleksy i wolno mi.

— Tak — powiedział prof. Mmaa i oparł ciężko antenkę na grzbiecie Niebylejakiego.

— Ale widzisz Mmaaś, ja nie dlatego jestem wściekły że mam kompleksy, rozumiesz Mmaaś? Wierzysz mi, Mmaaś? Musisz mi uwierzyć. Musisz mi powiedzieć że wierzysz.

— Wierzę — powiedział prof. Mmaa.

— Jeżeli jestem wściekły, to dlatego że robią ze mnie narzędzie, rozumiesz: Psychonarzędzie. Psychonarzędzie do produkowania zjawisk, które mnie nie interesują. Ja nie jestem praktyk. Ja jestem naukowiec. Mmaaś, przyznaj że ja jestem naukowiec.

— Jesteś — rzekł prof. Mmaa.

— I gdyby mnie był potrzebny do doświadczeń minister, gdybym musiał robić doświadczenia na ministrze, daliby mi ministra? Powiedz, Mmaaś!

— Nie — powiedział prof. Mmaa.

— To dlaczego, jeżeli ministrowi ja jestem potrzebny, to dlaczego wolno mu brać mnie? I to na co? Na klapę bezpieczeństwa. To jest niesprawiedliwe, powiedz, że to jest niesprawiedliwe. Ja nie chcę być klapą bezpieczeństwa!

I nagle dr. Durchfreud wyprostował się. Pewnym krokiem poszedł na środek tunelu. Ze stropu, przez wąski pionowy kanał, węższy od najszczuplejszej formica, spływał strumień kosmologicznego światła. Nie zważając na przechodniów dr. Durchfreud, głosem pachnącym jeszcze napojami wyssanymi w barze, zawołał:

— Słuchaj, Mmaaś! Czuję, że chwila nadeszła! Nieoczekiwanie, wbrew naszej woli, mimo naszej niechęci. Autonomia naszych pracowni jest fikcją. Korzystać z niej umieją tylko te szczeniaki z I*go* miesiąca, plujące na przechodniów. Chwila nadeszła i my, chcemy czy nie chcemy, musimy zająć stanowisko. Musimy zająć pozycje. Musimy, wbrew naszej woli, opowiedzieć się za albo za. Za jednym *za*, które nas nie obchodzi, ale grzeje, albo za drugim *za*, które nas nie obchodzi, ale ziębi.

— Uspokój się, Zygmuś! — rzekł prof. Mmaa — jesteś podniecony.

— Nie jestem podniecony i nie uspokoję się! — zaprotestował Durchfreud z uporem.

— Uspokój się, Zygmuś! — powtórzył z takim samym uporem prof. Mmaa — jesteś przecież profesor teraz.

— Nie jestem! — zaprotestował dr. Durchfreud, ale natychmiast zmienił zdanie — Tak! Jestem profesor! Ale czy *to* jest stanowisko, które trzeba zająć, czy *to* jest pozycja, której trzeba bronić?

— Chodź, Zygmuś — powiedział prof. Mmaa — już jest strasznie późno.

— Czy pan profesor będzie na swoim stanowisku, czy pan profesor będzie miał wykład? — spytał Niebylejaki.

— Tak. Oczywiście. Naturalnie. A bo co? — zdziwił się prof. Mmaa kołysząc się na poplątanych sześciu nogach przekroczył bramę Akademii.

W tym czasie szedł wolno wzdłuż tunelu nędznie raczej wyglądający jegomość w średnim wieku. Pędził przed sobą większego od siebie świętojańskiego robaczka i rozglądał się wokoło. Kiedy znalazł się przed korytarzem, w którym znikł prof. Mmaa oraz prof. Durchfreud i Niebylejaki, stanął i uczynił ruch jak gdyby przestąpić chciał próg Akademii.

Konstabl, stojący na warcie, przyglądał mu się uważnie.

— Stop! — zawołał — Dokąd idziesz?

Jegomość z robaczkiem oświetlającym ściany tunelu wyciągnął swe antenki.

— Dokąd idziesz? — powtórzył konstabl.

Jegomość z robaczkiem świętojańskim odrzekł:

— Szukam Termita.

— Co takiego? — zdziwił się konstabl — Co robisz?

— Szukam Termita! — odrzekł jegomość ze świętojańskim robaczkiem.

— Kogo?! — wykrzyknął konstabl — Termita? Jak się nazywa ten termit? Jakiego termita?

— Po prostu: *Termita* — odrzekł jegomość ze świętojańskim robaczkiem.

Konstabl zastanawiał się chwilę, wreszcie wyciągnął z zanadrza swej pamięci plan osiedla z alfabetycznym spisem ulic, szukał długo pod literą „D“, potem zaś pod literą „T“, ponieważ nie był pewien jak się pisze słowo Termit.

— Nie, nie ma niczego takiego! — rzekł wreszcie.

Któryś z młodych studentów, uczepionych stropu korytarza, celnym splunięciem trafił wprost w świętojańskiego robaczka. Świętojański

robaczek otrząsnął się i na ścianach tunelu zafalowały fantastyczne cienie konstabla i jegomościa.

— Nie ma niczego takiego — powtórzył konstabl, spoglądając podejrzliwie.

— Właśnie dlatego szukam. . . — burknął przybysz i ruszył swoją drogą, pędząc przed sobą jaśniejącego błękitnie świętojańskiego robaczka; oddalając się powoli, znikał daleko w perspektywie pustego tunelu. Przed wylotem autonomicznego korytarza, ze stropu, przez pionowy wąski kanał, węższy od najszczuplejszej formica, spływał strumień białego kosmologicznego światła i kładł się białym kręgiem na chodniku. „Pchlakrew! a może trzeba była go odprowadzić do komisariatu — zastanawiał się konstabl — Szuka Termita!. . ."

Biologiczny zegar w wielkiej sali audytorium wciąż starzał się z jednego końca i odradzał z drugiego. Prof. Mmaa stanął na katedrze, podniósł swe piękne wąskie antenki i, gdy cisza zapanowała po chwili, rzekł:

— Szanowni Państwo! —

*

— Szanowni Państwo — powiedział prof. Mmaa i świat wydał mu się nagle skomplikowany, zagmatwany i trudny.

— Świat wydał mi się nagle skomplikowany, zagmatwany i trudny, ale obiecuję państwu, że to moje subiektywne wrażenie nie będzie miało wpływu na obiektywną racjonalność, logiczność i prostotę mego wykładu. — I prof. Mmaa przypomniał sobie, że już był kiedyś coś podobnego mówił. Nastawił więc badawczo wszystkie zmysły w stronę audytorium, by stwierdzić, czy nie zauważyło ono, że prof. Mmaa się powtarza, i wtedy dostrzegł, iż zaczynają się dziać rzeczy conajmniej dziwne.

Zlane dotąd w jedną masę, tworzącą ową atmosferę audytorium, fizjonomie wonnych fluidów poszczególnych słuchaczy, zaczęły oddzielać się od siebie, falować i krążyć, i krążyć wokoło narządów węchowych prof. Mmaa, jak spirale bez końca. Całe audytorium zmieniło się w masę wirujących spirali, które oddalały się, odpływały het w głąb, daleko — a pozostawały przecież wyraźnie wciąż tuż tuż pod antenką. Szeroka fala cieplna, idąca od słuchaczy i oblewająca ze wszystkich stron katedrę, nie chłodła, ale do profesora Mmaa dochodził wąski jedynie snop promieni, jak gdyby całe audytorium odpłynęło het, w głąb, daleko, setki i setki centymetrów. Jedynie kilkadziesiąt centralnych pryzmacików oczków prof. Mmaa rejestrowało obecność słuchaczy. W tysiącach pryzmacików rozłożonych po obwodzie oczków była czarność ,mgła i tajemnica.

I nagle profesor zorientował się, że nie audytorium odpłynęło het, wgłąb daleką, lecz że to on sam urósł, powiększył się, zogromniał, na podobieństwo legendarnego Wyrwitrawy czy Waliwzgórka.

— Szanowni Państwo! — powtórzył prof. Mmaa — Przede wszystkim musimy ustalić tak zwane „z czym do gościa", czyli jakimi możnościami badawczymi rozporządzamy. Dopiero co, w barze „Pod stonogą", w izobarze — (poprawił się, w „izobarze" brzmiało bowiem lepiej niż: „w barze") — jeden z mych kolegów uczynił to trafne spostrzeżenie, że prawdą jest, iż na żądanie ministra wszystkie nasze pracownie naukowe i wszystkie nasze ciała profesorskie oddają mu się do dyspozycji. Nam jednak, badaczom, nie wolno, nawet w razie najpilniejszej potrzeby naukowej, brać na stół doświadczalny ministra, nawet zdymisjonowanego, i musimy się ograniczać do badania organizmów niższych, w najlepszym jedynie wypadku uzyskując przydział skąpej liczby abdomenowców do wiwisekcji lub zgoła samobójców do sekcji. Ministrowie drżą na myśl, że zarejestrowane w ich substancji skojarzeniowej sprawy tajne mogą się dostać do substancji skojarzeniowej profanów, za jakich nas uważają, i ministrów wolno jest pożerać tylko ministrom. Musimy sobie zatem powiedzieć, że zdobyte przez nas prawdy naukowe są prawdami w zastosowaniu do

abdomenowców i samobójców, uogólnione zaś na ministrów stają się jedynie niesprawdzonymi hipotezami. —

Prof. Mmaa poczuł dziwnie nieprzyjemny smak w jamie gębowej i równocześnie wydało mu się, że wyskokowy płyn, jakim wypełnił był swój skromny abdomen, zaczyna krążyć, krążyć jak spirala bez końca. Profesora zainteresowało nagle, czy ta spirala w abdomenie wiruje w tym samym kierunku co spirale, w które zmieniło się oddalające się wciąż, oddalające się a pozostające w miejscu audytorium. Wytężył wszystkie zmysły i wtedy spośród wirujących przed nim spirali wyłoniła sie przerażona twarz Zygmusia, który wyciągniętymi przed siebie zaniepokojonymi antenkami dawał profesorowi znaki, by nie powoływał się czasem na niego. I w tej chwili rozwirowana substancja skojarzeniowa prof. Mmaa uprzytomniła sobie wszystko: sekretarkę hrabiego Lamzdorfa, rozmowę z drem Durchfreudem, wyskokowe abdomeny w barze pod Stonogą, i wreszcie zjawienie się Niebylejakiego.

Prof. Mmaa niczego nie żałował, ale wstyd mu było Niebylejakiego. „Posłałbym to całe towarzystwo do wszystkich formicae"—mruknął sam do siebie, ale z „tego całego towarzystwa" wyłączał Niebylejakiego. Niebylejaki, tak samo zresztą jak „Moja Stara", przypominał profesorowi jego własną młodość. A jego własna młodość była jedyną rzeczą, jaką profesor cenił, do której miał sentyment, którą kochał. Poza tym Niebylejaki miał twarz gładką, świeżą, na której życie nie zdążyło jeszcze wyryć swych śladów, miał twarz pachnącą otwarcie wkoło, pachnącą z zaufaniem. Myśląc o Niebylejakim prof. Mmaa zmusił się do potrząśnięcia głową i gdy zawarta w niej substancja skojarzeniowa została w ten sposób przywołana do porządku, prof. Mmaa odchrząknął i rzekł:

— Nierównowagę szans, nierównowagę startu podobną do tej, jaka istnieje pomiędzy nami i ministrem, zauważyć możemy pomiędzy nami i homo.



Dr. Durchfreud odetchnął z ulgą.

A prof. Duch zwrócił się do swego Drugiego Asystenta i zaszeptał:

— Słyszy pan?

— Co?

— Prelegent przyrównał ministra do homo!

Na to Drugi Asystent prof. Ducha powiedział: „przepraszam", odwrócił się i, torując sobie drogę poprzez audytorium, wyszedł z sali.

— Setki — powiedział prof. Mmaa — tysiące, dziesiątki tysięcy naszych braci, schwytanych przez homoentymologów, cierpi i ginie bohatersko w szklanych pudełkach obserwacyjnych, w imię homonauki. My zaś, dla naszych pracowni naukowych nie możemy zdobyć ani jednego osobnika homo, ani jednego doświadczalnego homo wertykalnego. Prawie że wszystko co wiemy o homo na pewno, zdobyte zostało za pomocą obserwacji od wewnątrz, ab intra. Jaki byłby homo, gdyby udało się nam pociąć go na dziesięć tysięcy fragmentów węższych od średnicy naszych tuneli, gdyby udało się nam te fragmenty sprowadzić do audytorium i złożyć z powrotem w pierwotną żyjącą całość? W tej formie pomyślany eksperyment jest dziś oczywiście niemożliwy, ale to nie znaczy bynajmniej. . .

— . . . że kiedyś rozwijająca się technika. . . — szepnął Niebylejaki i potarł antenki z zadowoleniem.

— że kiedyś rozwijająca się technika — powtórzył prof. Mmaa.

— . . . nie potrafi go przeprowadzić! — rzekł pewnym i mocnym głosem Niebylejaki.

— nie potrafi go przeprowadzić — powtórzył prof. Mmaa.

— I jeśli nie można sprowadzić homo do pracowni, to możnaby zbudować pracownię wokoło homo! — wykrzyknął Niebylejaki.

— Czy orientuje się pan w wymiarach przestrzennych? — spytał prof. Mmaa, jak gdyby zapominając, kto właściwie ma wykład.

— Gdyby budżety naszych osiedli były opracowane rozsądnie, możnaby zbudować pracownię nie tylko wokoło jednego osbnika homo, lecz wokoło całej homocywilizacji!



— Ssss. . . — zasyczeli przyjaciele Niebylejakiego, uciszając jego nierozsądny wyskok na temat rozsądnych budżetów.

— Homo jest na pewno szczęśliwy z tego naszego nierozsądku—rzekł prof. Mmaa — Lecz nas *sam homo* tutaj obchodzi, nie zaś jego szczęście lub nieszczęście. I proszę nie sądzić, że nauka jest bezsilna w tych wypadkach, w których nie rozporządza doświadczeniem. Jeśli nauka nie umie czegoś zrobić naprawdę, to robi to na niby. Właśnie myślenie, proszę państwa, jest niczem innym jak przeprowadzaniem eksperymentu na niby. I pod opiekę wyobraźni uciekamy się wtedy, gdy nie możemy się uciec pod opiekę rzeczywistości.

Prof. Mmaa uśmiechnął się swym wewnętrznym uśmiechem, niewidocznym dla audytorium. I prof. Mmaa próbował sobie wyobrazić wyobraźnię. Była ona doskonale wklęsła; jak kulista łupina otaczała profesora ze wszystkich stron, wirując we wszystkie strony równocześnie. Zawierała wszystkie możliwości. Były w niej wszystkie słowa, jakich używał Mikołaj Rey, Shakespeare i Pierre Cambronne oraz wszystkie te, jakie były czy będą, i wszystkie te, jakie nigdy nie były i nie będą wypowiedziane. Były w niej wszystkie widoki, istniejące i nieistniejące, widziane przez wszystkie istniejące i nieistniejące oczy. Były w niej wszystkie wąchane i nigdy niewąchane zapachy. Były w niej wszystkie dźwięki i wszystkie tony, wszystkie rodzaje promieniowania, wszystkie dotykane i niedotykane dotyki oraz wszystkie cisze i ciemności, milczenia i bezruchy, pauzy i fermaty, przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Strasznie bogata była Łupina — Wyobraźnia, otaczająca prof. Mmaa. Zawierała wszystkie elementy. Prawdopodobnie zawierała także, potencjalnie przynajmniej, wszystkie połączenia. I pozostawało tylko wybrać.

Prof. Mmaa wybrał według własnego gustu.

— Wyobraźmy sobie — rzekł — że jestem Guliwerem. Ale nie zwykłym sobie Guliwerem, lecz Homoguliwerem. Wyobraźcie sobie państwo, że stoi na katedrze nie prof. Mmaa a homoprofesor Mmaa — i prof. Mmaa, chcąc bardziej upodobnić się do homoprofesora Mmaa; próbował poderwać w górę swój thorax oraz głowę i stanąć na tylnych nogach abdominalnych. Eksperyment udał się w pierwszej połowie tylko i profesor opadł ciężko z powrotem na płaszczyznę horyzontalną.

— Patrzcie, słuchajcie i węszcie uważnie, proszę państwa! Oto jest głowa Homoguliwera! Oto są ręce Homoguliwera — i prof. Mmaa pokazał przednią parę swych sześciu nóg — Tu powinna być homopompa sercowa Homoguliwera. Ręce są uzbrojone rogowatymi eksponatami numer dwa, głowa zalesiona jest eksponatem numer jeden. Ręce są rządzone przez głowę, ale eksponaty numer jeden i dwa oraz homopompa sercowa są indywiduami samymi w sobie. Czy zatem ja, Homoguliwer, jestem jednostką samą w sobie czy też zespołem jednostek samych w sobie? A z

drugiej znów strony: czy ja, Homoguliwer, jestem jednostką samą w sobie czy też elementem jakichś jednostek większych?

Zwróćcie uwagę, szanowni państwo, jak olbrzymią przestrzeń zajmuje moje homoguliwerskie ciało, które składa się zaledwie z miliarda miliardów miliardów atomów, czyli pustek popstrzonych gdzeniegdzie korpuskułami, pustek oddzielonych od siebie pustkami jeszcze bardziej olbrzymimi. Photony promieni kosmicznych, promieni Roentgena, bez trudu przepływają przez te pustki, które o wiele więcej większe są od atomu niż średnica ziemi jest większa od osobnika homo. A jeszcze żadnemu osobnikowi homo nie udało się uciec od innego osobnika homo na odległość większą od średnicy ziemi. Osobniki homo bardziej są zgęszczone w ludzkości niż atomy w osobniku homo. Stłoczenie to jest czasem tak wielkie, że pewne pediculae przenosić się mogą wprost z jednego osobnika na drugi. Czy nie powstaje zatem w umyśle państwa podejrzenie, że osobniki homo nie są jednostkami samymi w sobie, lecz że są jedynie elementami, narządami jednostek większych? Jednostek nazywanych przez naukę grupami statystycznymi?

Rzecz przy tym jest o tyle skomplikowana, że ten sam homoosobnik należeć może jednocześnie do rozmaitych grup statystycznych, np.: do grupy męskiej, białej, analfabetów, blondynów, garbatych, pykników, cudzoziemców, szczerbatych, tchórzliwych, wesołych, niemuzykalnych, patriotów, skąpych, sierot, pasożytów, niekaranych i t.d. Ten sam osobnik należeć może do grupy ojców i do grupy dzieci, ale nie może należeć równocześnie do grupy dziadków i do grupy babek, ani też do grupy czarnej i do grupy białej, a jednoczesna przynależność do grupy żeńskiej i męskiej uważana jest za rzadkość taką jak główna wygrana na loterii. Ze względów dla nas tajemniczych homoosobnik nie może również należeć jednocześnie do grupy mężów i księży, chłopów i astronomów. Z tajemniczych również względów homoosobniki mogą z upływem czasu zmieniać swoje przynależności do grup statystycznych i przechodzić z grupy niskich, na przykład, do grupy wysokich, z grupy wkładających-czapki do grupy zdejmujących-czapki, z grupy krwawopotnych do grupy krwiopijskich. Kogóż więc właściwie mamy prawo nazywać homo-całościami samymi w sobie?

Którąś z *korpuskuł*, żyjących życiem arytmetycznym w atomie?

Atomy, które żyją życiem chemicznym, po dwieście pięćdzieiąt tysięcy w ciężkich molekułach, tworzących materię żywą?

Molekuły, żyjące życiem cieplnym i mechanicznym w cząsteczkach?

Cząsteczki, żyjące życiem kolloidalnym w egoistycznej komórce?

Egoistyczne komórki, żyjące życiem histologicznym w egoistycznych koloniach egoistycznych komórek?

Egoistyczne kolonie egoistycznych komórek, żyjące życiem biologicznym w narządach?

Narządy, żyjące życiem fizjologicznym, anatomicznym, kinestycznym w Homo?

Homo, który żyje życiem psychicznym sam w sobie?

Samych w sobie, które żyją rozmaitymi życiami społecznymi, w rozmaitych grupach statystycznych jednocześnie?

Grupy statystyczne, żyjące życiem samolubnym w homogatunku?

Homogatunek, żyjący życiem samochwalskim w owej jedności wielości zwanej mammiferami?

Mammifery, żyjące życiem impertynentów w obejmującym i nas ogóle biologicznym?

Ogół biologiczny, żyjący życiem zbiegookolicznościowym po obu stronach powierzchni Ziemi?

Ziemię, żyjącą życiem geometrycznym w kosmosie?

Kosmos, żyjący życiem metafizycznym w Istocie Najgłębszej i Najpłytszej?

Nieprzyjemny smak ustąpił nareszcie z jamy ustnej prof. Mmaa. Zmysł powonienia przypomniał jednak nagle profesorowi smak przyprawy Trichonymphae Campanulae i otoczył go nęcącą aureolą wspomnień. Prof. Mmaa rozejrzał się, czy niema czegoś obok do zjedzenia, ale obok był tylko homowłos, homopaznokieć, homopocisk i homokółko z czterema dziurkami.

— Tak samo jak w przestrzeni — ciągnął dalej prof. Mmaa — nie możemy znaleźć ostatecznej dla homojednostki granicy, tak samo nie możemy jej znaleźć i w czasie. Połóżcie antenki na którymś z osobników homo i trzymajcie je tak dostatecznie długo. Osobnik będzie wciąż niby ten sam pod waszymi antenkami. A mimo to, po upływie lat około siedmiu, pod antenkami waszymi nie zostanie ani jedna z tych komórek, które składały się na homoosobnika w chwili, kiedyście zaczynali doświadczenie.

Połóżcie antenki na którejś z grup statystycznych. Grupa statystyczna wciąż będzie niby ta sama, lecz po upływie dostatecznie długiego czasu nie będzie już w niej ani jednego z homoosobników początkowych.

Połóżcie antenki na homorodzaju. Po upływie dostatecznie długiego czasu okaże się, iż zmieniły się grupy statystyczne.

Połóżcie antenki na mammiferach, a okaże się że zmieniły się rodzaje.

Połóżcie antenki na ogóle biologicznym, a okaże się że jedne gatunki przeszły w inne.

Połóżcie antenki na Ziemi, a po miliardach lat okaże się że kamienie ożyły.

Połóżcie antenki na Kosmosie — okaże się że ciała kosmiczne znikły i powstały nowe.

Połóżcie antenki na Istocie Najgłębszej i na Istocie Najpłytszej. . .

Prof. Mmaa zatrzymał się. Zdał sobie naraz sprawę, że powinien był zatrzymać się już dawno, ale ten płyn wyskokowy wciąż krążył w jego abdomenie, krążył i nie pozwalał. — Nie, nie kładźcie swych antenek na Istocie Najgłębszej ani na Istocie Najpłytszej — rzekł — pan profesor Duch kładzie je na Nich za nas.

Prof. Duch, tupnął nogą w posadzkę. Prof. Mmaa jednak nogi prof. Ducha nie widział ani tupnięcia nie słyszał. Spirytuale w abdomenie i spirale, w które zmieniło się audytorium, krążyły wciąż i krążyły. I wśród tych spirali prof. Mmaa wyczuł znowu wyraźnie zapach Trichonymphae Campanulae.

— Jedna z moich mamek — powiedział prof. Mmaa — mianowicie Moja Stara, poznała się bliżej z jednym z egzemplarzy mojej biblioteki. Gdybyśmy ją zapytali o radę w naszych kłopotach związanych z wyborem homoobiektu doświadczalnego, zaproponowałaby niewątpliwie rozpoczęcie badań nie od Homoguliwera a od Homoliliputa, od korpuskuł. Ponieważ Moja Stara wie, że teza i antyteza korpuskuł tworzy syntezę atomu, że teza i antyteza atomów tworzy syntezę cząsteczki, że teza i antyteza cząsteczek tworzy syntezę komórki, że tezy i antytezy komórek tworzą syntezę tkanki, że teza i antyteza tkanek tworzy syntezę narządu, że tezy i antytezy narządów tworzą syntezę homoosobnika, że tezy i antytezy homoosobników tworzą syntezę grup statystycznych, że tezy i antytezy grup statystycznych tworzą syntezę homowości, i jeżeli Moja Stara nie zatrzyma się w porę, tak jak ja nie zatrzymałem się w porę przed chwilą, to powie wreszcie, że teza i antyteza ciał kosmicznych tworzy syntezę Istoty Najpłytszej i w ten sposób Moja agnostyczna Stara, która nie w i e r z y ł a w Syntezę Najpłytszą, ponieważ sądziła, że jest ona nie materialna, zacznie *wierzyć* w Syntezę Najpłytszą, ponieważ dojdzie do wniosku, że jest ona materialna.

Gdybyśmy natomiast spytali o zdanie naszego szanownego prof. Ducha, sądzę iż zaproponowałby rozpoczęcie badań od Homoguliwera, mianowicie od sprowadzenia do naszej pracowni Istoty Najpłytszej. I, jeśli

prof. Duch, badając Istotę Najpłytszą w odwrotnym kierunku niż Moja Stara, nie zatrzyma się w porę, to prof. Duch, który nie chciał w i e d z i e ć o korpuskułach, dlatego że sądził iż są materialne, zacznie *wiedzieć* o korpuskułach, ponieważ dojdzie do wniosku że są n i e m a t e r i a l n e.

W tej chwili prof. Duch zaklaskał głośno i wśród ciszy jaka zapadła, wykrzyknął:

— A do jakiego wniosku dochodzi pan, profesorze?!

— Tak, a do jakiego wniosku dochodzi pan, profesorze?!!! — niby echo rozległ się drugi głos z samego końca sali.

Prof. Mmaa wytrzeźwiał odrazu. Wirujące spirale zatrzymały się i znikły. Prof. Mmaa wytężył wszystkie zmysły w kierunku, z którego doszedł go ten drugi głos, i dostrzegł w ostatnich rzędach, wysoko na murze, Moją Starą, pachnącą wokoło swą kucharską przyprawą Trychonymphae Campanulae.



„Moja Stara przyszła na wykład — uświadomił sobie profesor i rozrzewniło go to bardzo — znów nie będę miał moich ulubionych cierni, przetrawionych na Trichonymphae Campanulae“ — dodał sam do siebie, ale przyznać trzeba, że refleksja ta nie zmniejszyła jego rozrzewnienia. Prof. Mmaa rozejrzał się po sali. Dr. Durchfreud zaniepokojoną antenką dawał mu znaki, że teraz chce czy nie chce musi zająć stanowisko. Takie lub inne. Lecz twarz Niebylejakiego była zupełnie spokojna. Niebylejaki wiedział. I prof. Mmaa przypomniał sobie pytanie Niebylejakiego: „Czy pan profesor będzie dziś na swym stanowisku? Czy pan profesor będzie miał wykład?“

— Pytacie państwo — rzekł powoli prof. Mmaa — do jakiego wniosku ja dochodę. Ja . . . nie dochodzę do żadnego wniosku. Ja . . . szukam . . . — przerwał na chwilę i wydawało mu się, że szuka rzeczywiście czegoś gdzieś daleko przed sobą.

W tym czasie, gdzieś daleko przed prof. Mmaa, szedł wolno wzdłuż któregoś z tuneli nędznie raczej wyglądający jegomość w średnim wieku. Nimfy wyśmiewały się z niego, młodzież akademicka pluła nań z wysokości autonomicznych sufitów, zdziwione konstable odsyłały go precz; a on szedł naprzód i pędził przed sobą wielkiego świętojańskiego robaczka.

— Nie, ja nie dochodzę do żadnego wniosku, — powtórzył prof. Mmaa — Ja szukam, — dodał, podniósłszy w górę antenki i prawie szeptem ale szeptem tak nabrzmiałym, iż słychać go było w najdalszym kącie sali, rzekł na pozór niebardzo do rzeczy: — szukam świętojańskiego robaczka.

Starzejący się wciąż z jednego końca i odradzający z drugiego biologiczny zegar zapachniał swego staroświeckiego kuranta, a równocześnie prawie w korytarzu prowadzącym do audytorium rozległ się świst konstablowego gwizdka.

Koniec rozdziału szóstego.



rys. Franciszki Themerson

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

Film wojenny kręci się teraz w przyśpieszonym tempie. Ostatnie klęski osi w Europie były czymś więcej, niż epizodami w zmiennych kolejach tej wojny. Jest bardzo charakterystyczne, że Niemcy zaczęli już fabrykować swe nowe a l i b i i nowy mit. A l i b i dla narodu niemieckiego, który po zainscenizowaniu likwidacji nazizmu będzie rościł prawa do nieodpowiedzialności za zbrodnie obalonego regime'u, mit o niezwyciężonej armii, która nie uległa w walce, lecz musiała ją przerwać pod terrorem raidów powietrznych na Rzeszę i okupowane kraje, by swym szlachetnym gestem ocalić Europę. „Nierycerskie" ciosy sprzymierzonych zastąpią starą teorię „Dolchstich'u". Komentarze radia niemieckiego wysuwają już argumenty, idące po tej właśnie linii.

Z okazji katastrofy faszyzmu mówią one, że w tej wojnie nie chodzi o regime'y i doktryny, lecz o egzystencję narodów, którą alianci chcą rzekomo zgładzić z oblicza ziemi. Nawet Gauleiterzy podkreślają „desinteressement" Niemiec w sprawie regime'ów. Upadek Mussoliniego nazywany jest zwykłą zmianą rządu zgodnie z tradycjami Włoch i nie szczędzi się komplementów nowemu rządowi, który uwięził Il Duce i rozwiązał partię faszystowską z wszystkimi jej przybudówkami. W różnych krajach satelitów osi szykują się już zmiany à la Badoglio. Nie brak oznak, że i w Niemczech nastąpi to samo.

Kamuflaż jest często bronią jeszcze bardziej pożyteczną w polityce, niż w działaniach wojennych. Wprawdzie propaganda Goebbelsa posługuje się wciąż starą terminologią, podciągającą aliantów pod jeden mianownik „żydowsko-plutokratyczno-bolszewicki", ale z chwilą gdy Niemcy dojdą do wniosku, że przestało się to opłacać, odpowiednio ją zmodyfikują, tak, jak uczynił to już rząd Badoglio. Gotowi oni są posunąć się znacznie dalej. Krążą pogłoski, że dojrzewa konflikt pomiędzy naczelnym dowództwem a Hitlerem, pomiędzy armią a partią nazistowską, pomiędzy różnymi odłamami tej partii. Jak wiadomo we Włoszech taki właśnie konflikt w łonie Głównej Rady faszystowskiej był bezpośrednią przyczyną obalenia Mussoliniego. „Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść" — na pewno zawyrokują miliony Niemców o Hitlerze i jego zacnej kampanii, tym bardziej, że zrobił w końcu źle i trzeba jaknajprędzej zatrzeć wszystkie ślady nieudanej imprezy. Myślą oni również na podstawie doświadczenia po tamtej wojnie, że na świecie jest dużo naiwnych, wyrozumiałych, krótkowzrocznych, którzy powtórzą stare błędy, że rzucenie na pastwę wzburzonych fal opinii świata nazistowskich kozłów ofiarnych, jak się rzuca balast z tonącego statku, przy jednoczesnym rozgrywaniu atutu antybolszewickiego, pozwoli im wyjść obronną ręką z beznadziejnej, zdawałoby się, sytuacji.

Jeśli chodzi o okres końcowy wojny, to znaczy przed zawarciem pokoju, te nadzieje niemieckie są marzeniami ściętych głów. Co będzie później? Któż na pytanie to odpowie? A w tej właśnie niepewności kryje się największe niebezpieczeństwo, szczególnie dla narodów, nie należących do wielkiej trójki aliantów.

Absurdalne byłoby przypuszczenie, że krach faszyzmu jest tylko kamuflażem wojennym. Nawet najbardziej naiwni zrozumie-

li, że mamy tu do czynienia z bankructwem całego systemu, całej ideologii, filozofii, mitologii i frazeologii, którymi tak długo i bezkarnie tumaniono ludzi. Nigdy jeszcze regime nie załamał się w sposób tak haniebny. Pękł jak purchawka, zostawiając po sobie, nie tyle legendę, ile kompromitację. Nawet carat bronił się kilka lat. Setki tysięcy „białych" ginęły w wojnie domowej, pragnąc go wskrzesić. A Mussolini, który przez dwadzieścia lat wygłaszał z balkonu Palazzo Venezia płomienne mowy o wielkości Włoch, którego miliony rodaków uważały za męża Opatrzności, za nowożytnego Cezara, runął z całą swoją partią w ciągu jednego dnia bez próby oporu i protestu. Mówiono dawniej o Rosji carskiej, że jest kolosem na glinianych nogach. Włochy faszystowskie nie miały nawet takiego fundamentu. Siła ich oparta była na jakiejś fantastycznej bladze. A nie było kraju na świecie, gdzie faszyzm nie miałby swych wyznawców, zwolenników i sympatyków, takich czy innych. Był on ojcem duchownym nazizmu. Jego „młodą prężną dynamikę" przeciwstawiano „zgrzybiałym demokracjom". Twierdzono że do niego należy przyszłość, że jest to jedyne lekarstwo na komunizm, że między faszyzmem i nazizmem, a komunizmem nie ma nic pośredniego, bo wszystko inne niezdolne jest do rozwiązania problemów społecznych i narodowych. I cóż się okazało? Te właśnie pogardzane pacyfistyczne „demokracje" jednym mocniejszym uderzeniem zadały cios śmiertelny faszyzmowi. Nie demokracje, lecz faszyzm był zgniły, skorumpowany, skazany na zagładę.

Dość przypomnieć sobie szereg kapitalnych błędów, jakie popełnił, by zrozumieć, że musiał nieuniknienie doprowadzić do rezultatów, jakie dzisiaj widzimy. Zawiódł sromotnie nie tylko, jako siła wojenna, lecz w całej swej polityce zagranicznej.

Włochy były jedynym państwem, które naprawdę wygrało tamtą wojnę. Nie jest to paradoks. Ich główny, odwieczny wróg, Austro-Węgry, przestał istnieć. Żadne inne zwycięskie mocarstwo nie osiągnęło takiego wyniku. Włochy miały najpomyślniejsze szanse rozwoju, a jeśli pokrzywdzone były przy podziale łupów, mogły z biegiem czasu naprawić to bez szukania awantur wojennych. Nawet po wszystkich swych prowokacjach i agresjach, po napadzie na Albanię i Grecję, Włochy, nie przystępując do tej wojny mogły z łatwością uzyskać zaspokojenie wielu swych pretensyj kolonialnych. Przed ich atakiem na Francję Anglia i Ameryka czyniły wszystko możliwe, gotowe były do najdalszych ustępstw, by skłonić Mussoliniego do neutralności. Pamiętne są liczne interwencje Roosevelta w tej sprawie, jego apele osobiste i pisma odręczne do Mussoliniego, na które ten nawet nie raczył odpowiedzieć.

Opowiadają, że D'Annunzio, pokłóciwszy się z Marinetti nazwał go „effervescente cretino". D'Annunzio sam nie odznaczał się mądrością polityczną. Ale jego romantyczny patos, zarówno jak futuryzm poetycki Marinettiego, były bądź co bądź okolicznością łagodzącą faszystowskie winy obu pisarzy włoskich. Epitet powyższy można byłoby z większą słusznością zastosować do ostatnich faz działalności Il Duce, którego polityka była istotnie jakimś „musującym idiotyzmem". Zamiast Cezara stał się Gauleiterem, popychanym przez Hitlera i wzgardzonym przez własnych rodaków. Tak się skończył jego sen o potędze. I taki będzie kres kariery wszystkich tych, którzy próbowali przeszczepić na grunt innych krajów zarazki faszyzmu i nazizmu. Brak nam jeszcze per-

spektywy, aby w całej pełni ocenić to, co się stało we Włoszech, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest to jedno z najdonioślejszych wydarzeń czasów współczesnych. 25 lipca, kiedy Mussolini został zlikwidowany z całym regime'm, stał się datą historyczną. Następną datą będzie upadek Hitlera i jego bandy. Il Duce odszedł bez legendy, odprawiony, jak lokaj. Legenda prysła.

* * *

Czy Trzecią Rzeszę spotka ten sam los, co Włochy faszystowskie? Dużo pisano ostatnio o podobieństwach pomiędzy sytuacją obecną a jesienią roku 1918. Istotnie można się ich łatwo doszukać z tą różnicą, że dzisiaj front wschodni odgrywa rolę ówczesnego frontu zachodniego. Tak samo, jak wtedy potęga wroga zaczyna się kruszyć od południa. Oczywiście, układ sił w skali światowej jest inny, lecz jeśli chodzi o wroga Nr. 1 — Niemcy —, analogia jest po prostu uderzająca. Trzecia Rzesza znalazła się w tym samym położeniu, co cesarstwo Hohenzollernów dokładnie przed dwudziestu pięciu laty, krótko przed katastrofą, a nawet w gorszym jeszcze, bo wówczas nie było tych straszliwych raidów bombowych na Niemcy.

W związku z tym nie od rzeczy będzie przypomnieć ostatni akt kariery cesarskiej Wilhelma. Był zimny dżdżysty poranek 10 listopada roku 1918. Kilka samochodów podjeżdża do granicy Holandii. Wysiada grupka oficerów niemieckich a wśród nich jeden starszy małego wzrostu o sztywnej postawie i nerwowych ruchach. Kręci się niespokojnie. Ziemia ojczysta pali mu się pod nogami. To ex-kajzer, zbieg i dezerter rozbitej armii, puka do bram Holandii, prosząc o schronienie. Otrzymał je na zamku Amerongen u swego przyjaciela hrabiego Bentincka. „Was sagen Sie zu dieser Schweinerei?" Takie były pierwsze jego słowa po przekroczeniu granicy, zanotowane przez obecnych. Dotychczas niewiadomo, co Wilhelm II miał na myśli: zwycięstwo armii alianckiej, wybuch rewolucji w Niemczech, warunki zawieszenia broni, czy swoją przymusową abdykację. U kresu wędrówki na podbój świata tylko tyle miał do powiedzenia. Zachował się, jak wygwizdany aktor, przeklinający niewdzięczną publiczność.

„Schweinerei" była istotnie bezprzykładna. Krótko przed tym był on mocarzem na olbrzymich obszarach. Wojska jego osiągnęły wspaniałe zwycięstwa, znacznie większe, niż armie Hitlera. Rozgromił potęgę caratu. Od Amiens do Rostowa, od Rygi do Zatoki Perskiej odnosił triumfy orężne. Jego łodzie podwodne zatopiły dużo milionów ton żeglugi aliantów. Anglii groził głód. I nagle to wszystko pękło, rozsypało się jak domek z kart. Wielka machina wojenna Niemiec zamieniła się w kupę gruzów. Herrenvolk zmykał w popłochu z okupowanych krajów. Szarańcza niemiecka, która obsiadła je i tuczyła się na nich, wiała z powrotem wszystkimi drogami, od wschodu i zachodu, południa i północy do Vaterlandu. Beseler chyłkiem ulotnił się z Warszawy. Wyrostki uliczne rozbrajały generałów niemieckich.

Zwycięscy okazali się niekonsekwentni i krótkowzroczni. Zapomnieli, że jedynym argumentem przemawiającym do Niemiec jest siła namacalna, prosta, bezwzględna, ta sama siła, jaką Niemcy zawsze stosowały do podbitych narodów. Wbrew radom swego naczelnego dowództwa nie wkroczyli do Berlina. Zmarnowali owoce zwycięstwa.

Po winie nie nastąpiła kara. Najgłośniej domagano się jej w Anglii. Lloyd George prowadził kampanię wyborczą pod hasłem powieszenia Kaizera. Inni Anglicy szukali dla niego wyspy na morzach południowych. Wszyscy żądali sądu i skazania. Dalszy ciąg jest znany.

Ale tamte Niemcy były wzorem cnót w porównaniu z Trzecią Rzeszą. Bethmann Hollweg był idealnym gentlemanem w porównaniu z gangsterami Hitlera. Usprawiedliwiał się i tłumaczył, dlaczego Niemcy musiały pogwałcić prawo międzynarodowe, wtargnąwszy do Belgii. Brutalne w swej polityce, zaborcze w imperialiźmie tamte Niemcy uznawały jednak pewne zasady i normy, obowiązujące w stosunkach między cywilizowanymi narodami. Reprezentowały one zdobycze nauki, wysoki poziom urządzeń społecznych. Były rajem wolności w porównaniu z Trzecią Rzeszą. Nie była to steroryzowana trzoda, szerząca masowy mord i zniszczenie w imię obłędnej doktryny „wyższości rasowej". Nie zapominajmy również, że w tamtej wojnie linia demarkacyjna pomiędzy dobrem i złem nie była tak rażąca. Istniały podczas tamtej wojny nie tylko czynniki siły fizycznej, nie tylko sukcesy na polu walk, lecz i pewne momenty natury moralnej, które sprzyjały ówczesnym mocarstwom centralnym. A jednak załamały się one nagle w druzgocącej katastrofie. Cóż dopiero w wojnie obecnej kiedy Niemcy rzuciły wyzwanie światu, stokroć groźniejsze, niż wówczas, kiedy zło, tkwiące w ich systemie od czasów Fryderyka Wielkiego, doprowadziło do nieznanych w dziejach zbrodni, dążąc nie tylko do ujarzmienia, lecz do fizycznej eksterminacji narodów, które uważają za przeszkodę w ich panowaniu nad ludzkością. Stary imperializm niemiecki był sielanką w porównaniu z okrucieństwem Trzeciej Rzeszy.

Z drugiej strony pod wpływem doświadczeń ostatnich dwudziestu pięciu lat nawet najbardziej zatwardziali izolacjoniści zrozumieli, że nie ma bezpieczeństwa na ustroniu, jeśli nawet tym ustroniem są potężne mocarstwa, bronione przez dwa oceany, że nie ma trwałego dobrobytu w jednym kraju, opartego na nędzy w innym, nie ma wolności rozparcelowanej i niewoli zlokalizowanej.

Upadek faszyzmu jest sygnałem do wielkich przemian, jakie będą musiały nastąpić po tej wojnie po linii biegnącej w przeciwnym kierunku. A faszyzm, tak samo, jak hitleryzm, są niczym innym, jak apoteozą nacjonalizmu, doprowadzonego do jego najbardziej drapieżnych konsekwencyj — pod wszystkimi długościami i szerokościami geograficznymi.

Nie trzeba dowodzić, że to co spotkało Mussoliniego i jego czarne koszule jest dla Trzeciej Rzeszy ciosem boleśniejszym, niż klęski militarne Włoch z którymi się od dawna liczyła. Korespondenci neutralni donosili z Berlina, że wiadomość o tym wywarła w Niemczech wrażenie piorunujące. W oczach publiczności można było wyczytać nie tylko przygnębienie, lecz strach. Na pewno każdy hitlerowiec pomyślał sobie: „dzisiaj oni, jutro my". Lecz nie tylko wśród Niemców i ich satelitów wypadki włoskie wywołały wstrząs moralny. Reakcja podobna, aczkolwiek mniej ostra, nastąpiła niewątpliwie wśród licznych sympatyków faszyzmu, jawnych lub ukrytych w krajach sprzymierzonych. Ileż to każdy z nas znał ludzi, którzy z mniejszymi lub większymi zastrzeżeniami, albo bez zastrzeżeń wyrażali podziw dla Mussoliniego. Obserwowałem na twarzach takich adoratorów jego „genialno-

ści" dziwne zakłopotanie. Udawali, że się cieszą, a może naprawdę upadek Mussoliniego sprawił im w pierwszej chwili przyjemną niespodziankę, ale znać było, że to uczucie jest bardzo mieszane i że jest im trochę nieswojo. Nic dziwnego. Kto przez dwadzieścia lat złorzeczył demokracji i widział w Mussolinim wzór godny naśladowania, nie może tak łatwo strawić bezprzykładnego krachu fałszywych prawd, w które wierzył i które zaszczepiał innym.

* * *

Minęły dwa lata od ogłoszenia Karty Atlantyckiej. Wcześniej jeszcze Roosevelt w jednej z mów swych proklamował słynne „cztery wolności", jako podstawę nowego ładu.

Karta Atlantycka, do której przystąpiły wszystkie państwa sprzymierzone jest deklaracją o charakterze ogólnikowym. Formułuje ona szereg zasad bez wskazania metod i sposobów ich realizacji. Jest to credo, a nie program ściśle określony, wskutek czego już obecnie ulega różnym interpretacjom, stanowiąc raczej podejście do problemów, niż próbę ich rozwiązania.

Należy odróżniać cele wojny od celów pokoju. Są one identyczne tylko dla agresorów. Hitler, prowokując wojnę, wiedział dokładnie o co mu chodzi. Wiedział, że w razie zwycięstwa, zagarnie z początku szereg podbitych krajów, a następnie, na dalszym planie miał niewątpliwie na myśli, jako obiekt swych podbojów, całą Europę, a może cały świat. Stanowisko jasne. Pokój, jako dalszy ciąg agresji wykorzystanej w sposób właściwy hitlerowskim Niemcom. Przedsmak tego mieliśmy już w tej wojnie.

Inaczej przedstawia się sprawa dla napadniętych. Zupełnie jasny jest dla nich tylko cel wojny — zwycięstwo, zniszczenie agresora. Natomiast, jeśli chodzi o sprawy dalsze, o podstawy przyszłego pokoju, muszą oni z natury rzeczy ograniczać się w czasie wojny jedynie do wytknięcia zasad mniej lub więcej wiążących, co nie pomniejsza bynajmniej ich wartości.

Mówiliśmy wyżej o podobieństwie obecnej sytuacji wojennej do ostatniej fazy wojny poprzedniej. Podobieństwo to obejmuje również i hasła głoszone przez aliantów. Tamta wojna skończyła się pod hasłem zniszczenia militaryzmu pruskiego, położenia kresu anarchii międzynarodowej, oraz triumfu demokracyj. Te same hasła rozlegają się dzisiaj w nieco zmienionej redakcji. Militaryzm pruski wystąpił w ostrzejszej bardziej cynicznej, barbarzyńskiej i krwawej formie hitleryzmu. Zamiast Ligi Narodów wysuwane są koncepcje idące znacznie dalej — stworzenia wspólnej organizacji międzynarodowej, wyposażonej w zbrojną siłę wykonawczą. Demokracja jest w dalszym ciągu hasłem ustrojowym, aczkolwiek treść jego nie została lepiej sformułowana, niż przed dwudziestu pięciu laty.

Natomiast istnieje wielka różnica w odniesieniu do innych bardzo ważnych problemów pomiędzy stanowiskiem aliantów w tamtej wojnie i obecnej. Wówczas sprawy gospodarcze odsuwano na dalszy plan. Nie uświadamiano sobie w całej pełni interdependencji ekonomicznej nowoczesnych państw, aczkolwiek nie brak było głosów, ostrzegających przed lekceważeniem tej strony pokoju. Błędem Traktatu Wersalskiego były nie rozstrzygnięcia terytorialne ani sankcje militarne, lecz sankcje gospodarcze, nie liczące się z realnymi możliwościami. Dzisiaj zagadnienia te są poważnie badane i brane w rachubę, jako warunek zasadniczy wszelkiego planowania na przyszłość. „Free-

dom from want" wiąże się ściśle z „freedom from fear". Następnie, jednym z głównych haseł tamtej wojny było tzw. „samookreślenie narodowe"—przywrócenie niepodległości narodom, które ją utraciły, a nawet przyznanie tym, które nigdy nie były niepodległe. Dążono do rozbicia wielkich jednostek państwowych na mniejsze i zabezpieczania praw mniejszości narodowych wewnątrz państw. Myśl twórców pokoju, popierana przez opinię publiczną, szła po linii zróżniczkowania narodowościowego. Odrębności narodowe uważano nie tylko za fakt, lecz za normę i zasadę, wychodząc z założenia, że rozwój ludzkości idzie w kierunku ich pogłębiania bez szkody dla współpracy międzynarodowej. Dzisiaj obserwujemy inne zgoła tendencje. Wprawdzie Karta Atlantycka proklamuje przywrócenie niepodległości i całości państwom, które stały się ofiarami agresji, lecz jednocześnie mówi się o koniecznym ograniczeniu suwerenności wszystkich państw, o zerwaniu z absolutną doktryną nieinterwencji, przy czym zaleca się tworzenie większych lub mniejszych federacyj. Jak to będzie wyglądać praktycznie — nikt sobie dokładnie nie wyobraża. Przewidywany jest dłuższy okres przejściowy, w czasie którego sprawy te nabiorą kształtów realnych. Ale że głębokie przemiany muszą nastąpić i że muszą one iść w kierunku dośrodkowym, a nie odśrodkowym — nikt już chyba w to nie wątpi. Trzeba być zupełnie pozbawionym zmysłu rzeczywistości, by nie widzieć, że żaden z problemów, które powodują kryzysy i wojny, nie daje się rozwiązać częściowo i lokalnie. Na wielkie cierpienia potrzebne są wielkie lekarstwa.

Wszystkie koncepcje samowystarczalności, ograniczonej odpowiedzialności, bilateralnych czy też regionalnych paktów, dobrych sąsiedzkich stosunków, neutralności itd. są paliatywami, które usypiają tylko czujność na grożące niebezpieczeństwa. Nie ma wielkich zagadnień o charakterze izolowanym. Polityka mocarstw demokratycznych, które starały się unikać zobowiązań na wypadek ewentualnych konfliktów, zachowując decyzję do ostatniej chwili, w mniemaniu, że uchroni je to od wciągnięcia w wojnę, okazała się szczytem lekkomyślności. Skutek był wręcz przeciwny. Angielski insularyzm i amerykański izolacjonizm mają pod tym względem dużo grzechów na sumieniu. Teoria, twierdząca, że powiększenie zobowiązań zmniejsza „security" jest z gruntu fałszywa. Gdyby tak było istotnie żaden bank i żadne towarzystwo ubezpieczeń nie mogłoby prosperować. Błąd różnych prób utrwalenia pokoju w okresie między dwiema wojnami polegał również na tym, że chciano od regionalizmu przejść do uniwersalizmu, zamiast proces ten odwrócić. Locarno było klasycznym tego przykładem. Rząd Baldwina obalił protokół genewski, jedyny rozumny projekt wzajemnej pomocy, posługując się argumentem, że Anglia nie chce być żandarmem Europy. Jeśli Anglia i Ameryka uchylą się po tej wojnie od roli takich żandarmów na dłuższy przeciąg czasu, razem z innymi sprzymierzeńcami, smutne będą nasze dalsze perspektywy. Lepiej jes być żandarmem cywilizacji, niż ofiarą barbarzyństwa. Jednym z najbardziej oczywistych faktów jest, jak trafnie sformułował to Sir Norman Angell, że wolność narodów może być utrzymana tylko dzięki międzynarodowej organizacji w jej obronie.

* * *

Pierwszym warunkiem nowego lepszego ładu na świecie jest najbliższa współpraca anglo-amerykańska po wojnie. Bez tego trudno sobie wyobrazić, by wszystkie wysiłki w tym kierunku nie pozostały w sferze pobożnych życzeń. Nie brak pesymistów i sceptyków, którzy twierdzą, że izolacjonizm amerykański może znowu dojść do władzy i zniszczyć dzieło Roosevelta tak samo, jak dzieło Wilsona. W Stanach Zjednoczonych działają potężne czynniki, które, kierując się takimi czy innymi względami, a przede wszystkim swym interesem w rozgrywkach wewnętrzno-amerykańskich, mogłyby do tego doprowadzić. Wydaje się jednak, że obawy te są przesadzone. Jest bardzo znamienne, że główny rywal Roosevelta, Wendell Willkie stara się go jeszcze przelicytować w koncepcjach międzynarodowych. Książka Willkiego „One World", która rozeszła się w milionach egzemplarzy jest piorunującym atakiem na izolacjonizm ze strony leadera stronnictwa, które przez długie lata było jego niezdobytą, zdawałoby się, twierdzą. Świadczy to najlepiej, iż izolacjonizm stracił popularność w szerokich masach.

Niełatwo zorientować się dokładnie w walce, jaka toczy się obecnie pomiędzy opozycją, przygotowującą sobie powrót do władzy, a rządem, zarówno jak i w rozdźwiękach wewnątrz obozu Roosevelta i w jego najbliższym otoczeniu, ale można przyjąć za fakt, że olbrzymia większość opinii St. Zjednoczonych, demokratycznej czy też republikańskiej zbyt głęboko uświadomiła sobie podczas tej wojny nierozerwalny związek swego losu z losem reszty świata, by sprzyjała powrotowi do starych, zbankrutowanych haseł dobrobytu i bezpieczeństwa na „złotych skałach amerykańskiej prosperity". „Jest jeszcze bardzo wielu izolacjonistów — pisze Raymond Gram Swing — znany publicysta amerykański i komentator radiowy — ale izolacjonizm skończył się". Twierdzi on, że przeciętny Amerykanin, zadając sobie pytanie, jak zreformować świat, dochodzi samodzielnie do wniosku, że najlepszym wyjściem byłaby federacja ogólno-światowa. Jeśli jednak nie ufa sobie i zasięga rady bardziej doświadczonych polityków, gotów jest pójść na kompromis i zastąpić taką federację pełną współpracą Ameryki w przyszłym systemie bezpieczeństwa z międzynarodową policją. Raymond Gram Swing pisze to w związku z nowym ruchem pod hasłem „World Federation", zapoczątkowanym zupełnie niezależnie od idących z góry prądów amerykańskiej elity intelektualnej, przez mało znanego adwokata Roberta Lee Humbera w stanie North Carolina. Ruch ten apeluje do „common sense'u" prostych ludzi, zdołał w krótkim czasie zwerbować licznych zwolenników w różnych stanach, a nawet przeprowadzić odnośne uchwały w kilku legislatywach stanowych, między innymi w takich, które uważane były za skrajnie izolacjonistyczne. Ten sukces „outsidera", stojącego poza wpływami wielkich partyj politycznych, na rzecz internacjonalizmu jest tym bardziej znamienny, że dawniej powodzenie w Ameryce mieli przeważnie „outsiderzy" zupełnie innego rodzaju, jak Father Caughlin, Huey Long itd.

Ameryka jest szczególnie powołana do odegrania kierowniczej roli w rekonstrukcji powojennej świata. Niezmierzone bogactwa naturalne, największy na świecie przemysł, geniusz wynalazczy, dynamiczna energia tej młodej demokracji, jej rozmach, tempo i nieodłączny sukces rzucone zostały nie tylko na szale zwycięstwa. Po tamtej wojnie ograniczyła się ona do akcji ratunkowej

w najbardziej dotkniętych wojną krajach Europy. Była wielkim filantropem, który uratował od śmierci głodowej miliony ludzi. Po tej wojnie przypadnie jej również misja architekta. Będąc sama konglomeratem narodów europejskich nadaje się bardziej, niż inne mocarstwa alianckie do łagodzenia antagonizmów i montowania jedności. Nie jest tak, jak one, obciążona hipotekami tradycyj i balastem starych błędów i grzechów.

* * *

Po raz szósty w czasie tej wojny spotkał się premier Churchill z prezydentem Rooseveltem. Za każdym razem na spotkaniach tych podejmowane były ważne decyzje i następowały po nich doniosłe wypadki. Lecz nigdy dotąd leaderzy demokracyj anglosaskich nie konferowali w okolicznościach tak pomyślnych dla sprzymierzonych, jak ostatnio. Wiele zmieniło się na ich korzyść od styczniowej konferencji w Casablance i majowych narad w Waszyngtonie. Nieprzyjaciel poniósł nowe klęski na wszystkich frontach lądowych, morskich i powietrznych — od Sycylii do wysp Salomona na południowym Pacyfiku. Faszyzm włoski należy już do przeszłości. Po raz pierwszy letnia ofensywa niemiecka w Rosji nie tylko nic nie osiągnęła, lecz zakończyła się wielkimi zwycięstwami wojsk sowieckich. Armie niemieckie poniosły olbrzymie straty i cofają się na szerokim froncie. Cała Sycylia jest w ręku aliantów. Inwazja Europy od południa jest faktem dokonanym. Raidy powietrzne na Niemcy przybrały rozmiary przerażające. Sami Niemcy przyznają, że nie mają na nie obrony. Miasta niemieckie nie mogą się cofać, tak jak armie Hitlera. Rozpoczęła się ewakuacja Berlina i innych miast, które oczekuje los Hamburga. Miliony Niemców ucieka na wschód. Ta masowa wędrówka „Herrenvolku" wywołuje dezorganizację i chaos w całej ich machinie wojennej. Trzecia Rzesza przechodzi ciężki kryzys wewnętrzny. Hitler wciąż milczy. Wśród satelitów osi panuje popłoch. Nie ma mowy o tym, by dalej dostarczali mięsa armatniego Hitlerowi. Orientują się już tylko w jednym kierunku: jaknajprędzej wycofać się z wojny, gdyż przegrana Niemiec nie nasuwa już im żadnych wątpliwości. Lotnictwo sprzymierzonych panuje niepodzielnie w powietrzu. U-boaty — ostatnia deska ratunku Niemiec — zawiodły tak samo, jak Luftwaffe. Coraz większe transporty wojsk i sprzętu docierają przez Atlantyk na miejsce przeznaczenia. Flota niemiecka i włoska są unieruchomione w swych kryjówkach. Tak przedstawia się sytuacja u kresu czwartego roku wojny, którą Niemcy rozpętały, a która uderza teraz w nich całą swą niszczycielską mocą. Rachuby Niemiec na poróżnienie aliantów są równie błędne, jak inne ich plany strategiczne i polityczne w tej wojnie. Jakiekolwiek istnieją różnice stanowisk między aliantami wobec problemów powojennych, nie dotyczą one rzeczy najważniejszej — unicestwienia wspólnego wroga.

Propaganda niemiecka, która wciąż jeszcze wymachuje na przemian straszakiem bolszewickim, plutokratycznym czy żydowskim, wystawia smutne świadectwo pomysłowości Goebbelsa i beznadziejnej sytuacji rządu Nazich, który liczy na to, że uda mu się szczęśliwie rozegrać fałszywe karty dla osiągnięcia negocjowanego pokoju. Jasne jest, że dzisiaj wszystkie wysiłki niemieckie są w najlepszym wypadku tzw. akcją opóźniającą ich nieunikniony pogrom, a będzie to pogrom, jakiego nie zna historia.

* * *

A potem? Co robić z Niemcami? Dowiodły one, że umieją prędko dźwignąć się z klęsk i wyruszać z większą jeszcze siłą na podbój świata. Gdybyśmy przyjęli tezę, że ta choroba jest nieuleczalna, że każdy Niemiec jest potencjalnym Hitlerem, że zło tkwi w samej naturze tej gromady ludzkiej — in capite et in membris — byłyby tylko dwa rozwiązania: fizyczna eksterminacja lub rozproszenie. Goethe twierdził, że Niemców należałoby rozpędzić na wszystkie strony świata, jeśli mają wydać z siebie coś dobrego dla innych narodów. Oczywiście takie rozwiązania są niemożliwe a sama teza jest stuprocentowo hitlerowska.

Z drugiej strony, jasne jest, że najsurowsza choćby kara nie osiągnie celu na dłuższą metę. Rozbrojenie, sankcje gospodarcze, uszczuplenie terytorialne lub też rozbicie Rzeszy na szereg małych jednostek równie nie dają absolutnej gwarancji, że w przyszłości ta gromada znowu nie stanie się agresorem, a niepodobna wiecznie trzymać jej pod kontrolą i kuratelą. Jasne jest, że trzeba zmienić mentalność niemiecką. Ale jak? Czy to możliwe? Reedukacja wielkiego narodu przez obcych mentorów jest eksperymentem nigdy dotąd niepraktykowanym i nasuwającym poważne wątpliwości. A do tego właściwie sprowadzają się w dalszych konsekwencjach wszystkie plany wobec Niemiec po zastosowaniu wyżej wspomnianych innych środków unieszkodliwienia ich w okresie reedukacji, w przeświadczeniu, że tylko w początkowym stadium odbywać się ona będzie pod presją zewnętrzną, a następnie sami Niemcy wyciągną z niej dobry dla siebie i innych morał.

Miliony ludzi zadają sobie pytanie: „Jak postąpić z Niemcami?" Istnieje bogata literatura projektów na ten temat, który jest niewątpliwie centralnym zagadnieniem rozstrzygnięć powojennych, dotyczy bowiem jednej z czterech wolności — „freedom of fear" — na których ma być zbudowany nowy porządek świata. Bez realizacji „wolności od strachu" tj. bez trwałego ugruntowania bezpieczeństwa wszystkie inne plany staną się niewykonalne.

Niedawno ukazała się w wydawnictwie „Royal Institute of International Affairs" bardzo interesująca rozprawa p.t „The problem of Germany". Jest to zbiorowy referat grupy zaproszonych przez tę poważną instytucję rzeczoznawców celem zbadania problemu niemieckiego zarówno z punktu widzenia bezpieczeństwa Anglii jak i przyszłej współpracy międzynarodowej. Czytając tę pracę bardzo rzeczową i obiektywną, pełną umiaru w sądach i sformułowaniach — najlepsze bodaj studium o Niemcach współczesnych — można stwierdzić radykalną zmianę, jaka nastąpiła w zrównoważonej opinii angielskich kół intelektualnych, które po tamtej wojnie n i e d o c e n i a ł y niebezpieczeństwa niemieckiego. Autorzy dają właściwie tylko materiał do dyskusji, pozostawiając wyciąganie konkretnych wniosków politykom. Stawiają diagnozę bez wskazywania jakiejś ściśle określonej terapii. Z rozważań ich wynika, że byliby raczej zwolennikami skombinowanych środków leczenia perswazją i siłą, ale na jednym punkcie ustają wszystkie ich „understatement'y" i wypowiadają oni pogląd swój, jako kategoryczny imperatyw. Niemcy muszą być a b s o l u t n i e rozbrojone nie tylko po tej wojnie, ale w ogóle. Jeśli kiedyś w przyszłości zechcą one powtórzyć próbę uzbrojenia się, Anglia winna natychmiast zastosować „wojnę prewencyjną", nawet gdyby Ameryka i Rosja nie zgodziły

się wziąć udziału w takiej operacji. Autorzy tej pracy odrzucają z całą stanowczością tezę, że klęska doprowadzi automatycznie do zamknięcia cyklu agresyj niemieckich. Piszą oni: „Musimy być przygotowani na to, że druga przegrana wojna światowa wydawać się będzie niemieckiej partii wojennej operacją na ogół bardzo udaną”. Podkreślać ona będzie nie tyle faktyczną klęskę, ile okoliczność, że Niemcy były bliskie zwycięstwa, wyciągając stąd następujące wnioski na przyszłość: a) wszystkie państwa europejskie na zachód od Rosji mogą być w rachubach niemieckich wyeliminowane, jako „deterrent factors”, b) są widoki, że Rosja będzie neutralna, c) Anglia zapewne nie będzie miała większej ochoty przeciwstawienia się ich trzeciej agresji, niż Francja — drugiej, d) Ameryka będzie tak „urobiona”, że trzeci atak Niemiec zastanie ją znowu nieprzygotowaną”. W ten sposób będą rozumować bardzo wpływowe koła niemieckie, dążąc do nowego rewanżu.

Jasne jest, że sama klęska militarna nie wystarczy. Trzeba zniszczyć doszczętnie wszystkie potencjały wojenne Niemiec, wszystkie sztaby dyspozycyjne, całą organizację militarno-gospodarczą, której przemysłem narodowym od czasu Fryderyka Wielkiego jest wojna. Niemcy udoskonaliły narzędzie mordercze, ideje mordercze, wszystkie najgorsze „izm'y”. Niektóre z nich powstały gdzie indziej, lecz Niemcy wchłonęły je w siebie, przepracowały, usystematyzowały, zbudowały na nich potężny gmach Rzeszy — najpotworniejsze narzędzie agresji w czasach nowożytnych.

Kardynalnym warunkiem wszelkich planów wobec Niemiec jest pełna współpraca aliantów, a w pierwszym rzędzie Anglii i Ameryki. Doświadczenia ostatnich dwudziestu pięciu lat są zbyt pouczające, by długo się nad tym rozwodzić. Gdyby nie tarcia i rozbieżności między Anglią, Francją i Ameryką, nie doszłoby do dzisiejszej katastrofy. Przesadą byłyby twierdzenia, że niebezpieczeństwo takich rozbieżności po wojnie zostało usunięte. Nadzieje Niemiec polegają, między innymi, na pewnym znanym zjawisku, wypływającym z „dialektyki walki”, a mianowicie, że *po zwycięstwie sądzi się na ogół lepiej o byłych przeciwnikach, niż o byłych sprzymierzeńcach*. Zjawisko to, które obserwowaliśmy po tamtej wojnie, dało Niemcom bardzo cenna broń do ręki, pozwalając im zorganizować sympatię na swoją korzyść w krajach anglo-saskich. Jest on jednym z niebezpieczeństw, które należy przede wszystkim zażegnać.

CZESŁAW POZNAŃSKI

MISTYKA DEMOKRACJI

Jednym z najczęstszych zarzutów stawianych demokracji podczas dwudziestoletniego zawieszenia broni i pierwszych lat wojny obecnej — szczególnie po upadku Francji — był zarzut, że pojęciu demokracji brak dynamizmu, że jest ona konstrukcją czysto racjonalistyczną, bez mistyki. I dlatego demokracja w walce z faszyzmem, posiadającym właśnie ten dynamizm, oparty na istnieniu nowej mistyki, musiała jakoby upaść.

Dziś już chyba ten argument jest przebrzmiały. Demokracja brytyjska wykazała, że nie jest bynajmniej wyczerpana i skazana na zagładę. Dunkierka, Afryka i Sycylia dowiodły że narody demokratyczne potrafią walczyć, że przywiązanie do idei demokratycznej potrafi zagrzewać do walki, że za demokrację można umierać. Z drugiej strony załamanie się reżimu Mussoliniego we Włoszech, zlikwidowanie bez walki całego systemu faszystowskiego w ciągu dwudziestu czterech godzin wykazało, jakim gigantycznym bluffem był rzekomy dynamizm idei faszystowskiej, tej idei, za którą — jak się okazało — nikt we Włoszech nie był gotów umierać.

Zresztą, gdyby istotnie w zmaganiu się faszystów i demokracji w tej ostatecznej próbie sił, jaką była wojna obecna demokracja naprawdę zginęła, a miejsce jej czy to na skutek zwycięstwa państw osi, czy nawet w wypadku zwycięstwa sprzymierzonych zajęła odmienna koncepcja, faszyzm, komunizm czy korporatyzm, czy jeszcze coś innego, to oczywiście i to by nie wystarczyło dla filozoficznego potępienia demokracji. Victrix causa diis placuit, sed victa Catoni.

Sam zarzut jednak, że demokracja jest konstrukcją czysto racjonalistyczną, że nie ma mistyki demokracji wart jest bliższego rozpatrzenia. I przy cokolwiek głębszej analizie okaże się zgoła bezpodstawnym.

Prawda, to uzasadnienie demokracji, z którym się zazwyczaj spotykamy w literaturze jest uzasadnieniem racjonalistycznym. Demokracja i jej obrońcy nie posługują się formułami mistycznymi, jak Hitlerowskie „Blut und Boden" nie apelują do instynktów i dążeń irracjonalnych, ale do rozumu. Tłumaczy się to jednak tym, że teoria demokracji dzisiejszej powstała w epoce Oświecenia, która wierzyła głęboko w prymat rozumu. Ojcowie i teoretycy demokracji współczesnej, Locke w Anglii, encyklopedyści we Francji, byli racjonalistami i dlatego uważali, że należy swe teorie polityczne przedstawić jako nakazy rozsądku.

To samo stosuje się i do myślicieli demokratycznych XIX wieku. Boć przecież i ten wiek był wiekiem wiary w rozum i postęp. Wszakżeż antydemokrata August Comte także swe teorie ubrał w formę racjonalistyczną. A Karol Marks swoje mesjanistyczne teorie o powołaniu proletariatu, swoją mistykę millenium, które nastąpi po zwycięstwie proletariatu i utworzeniu społeczeństwa bezklasowego, również podał w formie niezaprzeczalnych prawd, wykrytych przez naukowe badanie rozwoju ekonomicznego.

Z drugiej strony apel faszyzmu i nacjonalsocjalizmu do mistyki, do irracjonalizmu wiąże się równie ściśle z klimatem ogólnym wieku XX, który zachwiał wiarę w wszechmoc rozumu i w racjonalistyczne podstawy myślenia, z teoriami o „bankructwie wiedzy" Brunetière'a, z filozofią Bergsona a nawet z freudyzmem.

W samej rzeczy zaś każda teoria polityczna ma swe oblicze zarówno racjonalistyczne, jak i mistyczne. Każda jest mistyczna w swych założeniach, racjonalistyczna w ich uzasadnianiu.

Mistyka komunistyczna ma swe oblicze racjonalistyczne w „naukowości" marksizmu-leninizmu; mistyka hitlerowska szuka wzmocnienia w „naukowości" teorii rasowej; mistyka faszyzmu opierała się na teoriach Vilfredo Pareto i Sorela.

Z drugiej strony jeżeli zaczniemy badać podstawy demokracji, to zobaczymy, że cała jej racjonalistyczna konstrukcja jest

oparta na pewnych założeniach, nie dających się w żadnym wypadku uzasadnić rozumowo; że aksjomaty demokracji są istotnie jej mistyką.

Najlepszym może symbolem nierozdzielności mistyki demokracji od jej racjonalizmu był kult „Bogini Rozumu" ustanowiony przez jednego z najczystszych wodzów i męczenników demokracji — Maksymiliana Robespierre.

Zbadajmy naczelną podstawę demokracji: uznanie prawa większości do rządzenia. Na pozór jest to zasada czysto racjonalistyczna, oparta na wymierności liczby głosów. Jeżeli ją jednak tak jedynie będziemy ujmowali to nie znajdziemy odpowiedzi na zarzut, że zasada jest bezsensowna. Istotnie bowiem nie ma żadnego rozsądnego powodu, by twierdzić, że większość zawsze ma słuszność. Na czysto racjonalistycznej podstawie, teorie elitarne, twierdzące, że głosy należy raczej ważyć niż liczyć mogą zwycięsko walczyć z demokracją.

Istotnie na rozum szczupłe grono osób o wybitnej inteligencji i wykształceniu (w tej chwili nie chcę dyskutować bardzo istotnego w płaszczyźnie racjonalistycznej zagadnienia kto i jak będzie te elity dobierał) lepiej potrafi rozwiązać zagadnienia rządzenia, niż masy ani nie poinformowane dostatecznie, ani też nie stojące na wysokim poziomie inteligencji.

To też prawo większości istotnie nie jest oparte na racjonalistycznym rozumowaniu. Wywodzi się ono z podstawowej zasady mistyki demokracji. A zasadą tą jest wartość i świętość każdej jednostki ludzkiej, przekonanie o tym że człowiek z natury jest dobry i że rozróżnia dobro od zła. I dlatego należy przypuszczać, że decyzja powzięta przez większość będzie decyzją słuszną i sprawiedliwą.

To pojęcie o dobroci człowieka jest aksjomatem demokracji i jako aksjomat nie tylko nie wymaga rozumowego uzasadnienia, ale wprost nie może być uzasadnione. To też szczerym wyrazicielem demokracji jest wiceprezydent Stanów Wallace gdy mówi o czasie, jaki ma przyjść po wojnie jako o „century of the common man" — o wieku szarego człowieka. Geniusze mogą się mylić, genialności mogą być zbrodnicze, gdyż są wyjątkami. Masa jednak szarych przeciętnych ludzi zawsze wybierze drogę słuszną — bo z natury człowiek jest dobry.

Idźmy dalej. Wielka Rewolucja sformułowała swe hasła w trzech słowach. „Wolność, Równość, Braterstwo". Trzy hasła mistyczne.

Co do ostatniego nie może być żadnej kwestii w tym względzie. Braterstwo oczywiście może być jedynie ideałem do którego się dąży. Ustrój polityczny demokratyczny nie winien zawierać niczego coby przeczyło zasadzie braterstwa, coby utrudniało jej realizację, ale nie może sam jej realizować. „Braterstwo" bowiem jest zasadą czysto moralną, a moralność leży poza zasięgiem działalności państwa, poza zasięgiem polityki. Proklamacja braterstwa, jako podstawy społeczności jest proklamacją zasady mistycznej, jest laickim sformułowaniem zasady chrześcijańskiej „Kochaj bliźniego jak siebie samego".

Ten sam charakter mistyczny mają jednak i dwie drugie, na pozór czysto polityczne, zasady wolności i równości. Są one bowiem do przyjęcia wtedy jedynie, gdy uznamy zasadniczą podstawę — podstawę dobroci człowieka. Wolność bowiem dać można jedynie człowiekowi dobremu, który wolności tej nie nadużv-

je dla szkodzenia innym. Wolność, jako koncepcja zasadnicza, oznacza, że miarą społeczeństwa nie jest zorganizowana zbiorowość, ale jednostka.

W przeciwieństwie do koncepcji średniowiecznej, że każda władza pochodzi od Boga i że obywatel zawsze winien jej posłuszeństwo, w przeciwieństwie do koncepcji totalistycznych, które hypostazują państwo i dają mu nieograniczoną władzę nad jednostką, demokracja wolnościowa stwierdza supremację i nienaruszalność praw jednostki. Dlatego ojcowie konstytucji amerykańskiej stwierdzają w deklaracji niepodległości, że „We hold these truths to be self evident that all Men are created equal, that they are endowed by their Creator with certain inalienable rights, that among these are Life, Liberty and the Pursuit of Happiness." Dlatego Rewolucja Francuska również od Deklaracji Praw Człowieka zaczęła swą pracę nad konstrukcją nowego ładu.

Fikcja „Kontraktu społecznego" stworzona przez Locke'a i przejęta przez Rousseau to właśnie oznaczała, że wolność ludzka z natury rzeczy jest nieograniczona, i że trzeba „umowy" by wolność tę na rzecz społeczeństwa — to jest na rzecz wolności innych członków tego społeczeństwa — ograniczyć. I z tego pojęcia wypływał nieuchronnie wniosek, a) że są pewne wolności, których nikt wyrzec się nie może, b) że z chwilą gdy władza wolnościom tym zaprzeczy, to „kontrakt" przestaje obowiązywać. I dlatego z tej koncepcji wolności osobistej, jako prawa przyrodzonego wyprowadzone zostało prawo insurekcji przeciw tyranii, uzasadnionej przez Locke'a i wcielone zarówno do amerykańskiej Deklaracji Niepodległości, jak do francuskiej Deklaracji Praw Człowieka.

Ta wolność jednostki, jako podstawowa zasada organizacji społeczeństwa szczególnie głęboko ugruntowana jest w tradycji anglosaskiej. Wiekowa walka o demokrację w tych krajach była właśnie walką o wolność. Lord Acton, klasyczny filozof demokracji brytyjskiej, dał może najlepsze jej sformułowanie gdy pisał „Liberty is not a means to a higher political end. It is itself the highest political end".

T. E. Lawrence pisząc o walkach Arabów o niepodległość czasu pierwszej Wielkiej Wojny zauważa:

„There was amongst the tribes an enthusiasm common, I suppose, to all national risings, but strangely disquieting to one from a land so long delivered that national freedom had become like the water tasteless."

Tak było i w Europie przedwojennej. Wolność straciła swój smak. Trzeba było rządów Gestapo i Ovry by zrozumiano, że brak wolności jest najstraszniejszym nieszczęściem, że bez wolności nie ma człowieczeństwa. I mamy rację gdy wojnę obecną nazywamy walką o wolność.

I że Roosevelt gdy mówi o celach pokoju to mówi właśnie o „Czterech Wolnościach".

Zważmy bowiem. Z tych czterech wolności Rooseveltowskich dwie bynajmniej nie są wolnościami w potocznym tego słowa znaczeniu. Po angielsku to jeszcze brzmi jako tako „freedom from fear" and „freedom from want.". Ale przetłumaczmy to na polski. Jakże dziwnie i niezgrabnie to brzmi „wolność od strachu" i „wolność od niedostatku". We francuskim to sformułowanie wychodzi jeszcze gorzej.

A jednak jest głęboki sens w takim właśnie sformułowaniu.

Oznacza ono przede wszystkim, że pojęcie wolności politycznej jedynie, mieszczące w sobie i wolność umierania z głodu, jest dzisiaj niewystarczające. Że na to, by człowiek naprawdę mógł być wolnym musi mieć dach nad głową i utrzymanie, musi mieć zapewnioną pracę. Że człowiek może być wolny jedynie wtedy, gdy i naród jego jest wolny, gdy nie grozi mu agresja z zewnątrz. I że jest obowiązkiem państwa w jednym, obowiązkiem społeczności międzynarodowej w drugim wypadku te warunki zabezpieczyć, gdyż są to właśnie warunki „wolności".

A zabezpieczenie wolności jest istotnym celem organizacji społecznej.

Równie irracjonalnym, zrozumiałym jedynie jako aksjomat nie podlegający udowodnieniu jest i pojęcie równości. Życie bowiem pokazuje nam tylko, że ludzie są nierówni. Są ludzie mocniejsi i słabsi, zdolniejsi i mniej zdolni geniusze i głupcy. Skądże więc jako podstawa budowy społecznej pojęcie równości?

Istotnie jest to pojęcie względnie świeże. Można może podstaw jego szukać w religii i etyce chrześcijańskiej, jak można ich zresztą szukać w wypowiedziach klasycznej filozofii chińskiej na wieki przed narodzeniem Chrystusa.

Ale pamiętać należy, że równość którą głosił chrystianizm nie była równością z tego świata. Kościoły uczyły, że wszyscy jesteśmy równi w obliczu Boga, ale nie wyciągały bynajmniej z tego wniosku że ta równość wobec Boga pociąga za sobą równość praw i obowiązków tu na ziemi. Społeczeństwo średniowieczne, które niewątpliwie było społeczeństwem chrześcijańskim, było oparte na zasadzie stanowej, na zasadzie, że to Bóg wyznaczył miejsce dla chłopa, mieszczanina, rycerza, to jest było oparte na nierówności statusu. To przeciw temu właśnie stanowemu pojęciu wymierzone były i Rewolucja Amerykańska i Rewolucja Francuska. Jeszcze w XIX wieku pisarze kościelni uczenie uzasadniali, że niewolnictwo nie jest sprzeczne z równością wobec Boga, a w XX niektórzy działacze chrześcijańscy akceptowali doktryny faszystowskie, oparte na nierówności.

Katechizm Kościoła Anglikańskiego zawiera wyraźny nakaz podporządkowywania się „to my betters", wyraźną sankcję nierówności społecznej.

Demokracja brytyjska, pilnie strzegąca wolności nie była zresztą demokracją równościową. Uznawała hierarchizację społeczeństwa. W wieku XVIII księżna Buckingham tak pisała do swej przyjaciółki Seliny countess of Huntingdon, która popierała świeży wówczas ruch metodystyczny: „I thank your ladyship for the information concerning the Methodist preachers. Their doctrines are most repulsive, and strongly tinctured with impertinence and disrespect towards their superiors. It is monstrous to be told that you have a heart as sinful as the common wretches that crawl the earth. I cannot but wonder that your ladyship should relish any sentiments so much at variance with high rank and good peerage".

Dziś jeszcze demokracja brytyjska daleka jest od egalitaryzmu. Prawda, że prąd egalitarny coraz mocniej dochodzi do głosu od roku 1918, o czym świadczy chociażby walka z systemem public schools, a także i to, że monopol polityczny „gentlemanów" został złamany z chwilą, gdy przedstawiciele Trade Unionów w coraz większej liczbie zaczęli zajmować ławki w Izbie.

a nawet stanowiska w rządzie. Ale jeszcze w książce wydanej w tym roku przez filozofa J. T. McCurdle pod tytułem „The Structure of Morals" czytamy „If democracy means the social equality of all who live in the community, then either rulers and ruled will find themselves socially on the same level—which is something not yet observed in human societies—or else there will be no rule at all". A dalej autor pisze „Consistency in expression of the country's ethos is... dependent on there being a ruling class".

A nawet socjalista, Harold Laski, który walczy o społeczeństwo egalitarne nie jest wolny od pewnej nostalgii za społeczeństwem hierarchicznym. Oto co pisze on w essayu „The danger of being a gentleman"—There is in fact little evidence that before the Great War Englishmen at least questioned the title of gentlemen to lead them, nor is it certain that we shall replace them by a more admirable type. The new Renaissance bravo like Mussolini, the new Jesuit writ large like Stalin, the new plutocrats... are we certain that these represent a change for the better. The leader of the future seems not unlikely to be the remorseless one idea man who governs us by hewing his way to his goal. He has no time for an open mind, he takes clemency for weakness and differences of opinion for crime."

Nie ulega jednak kwestii, że koncepcja egalitarna jest koniecznym elementem światopoglądu demokratycznego. To nie tylko Rewolucja Francuska i Rewolucja Amerykańska związały z sobą nierozdzielnie pojęcie demokracji i pojęcie równości. Egalitaryzm leżał u podłoża demokracji greckiej, egalitaryzm leżał u podstaw szlacheckiej demokracji polskiej, jak o tym świadczy chociażby przysłowie „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie".

Jednak te egalitaryzmy były ograniczone do pewnej grupy obywateli jedynie. Pojęcie równości nie obejmowało w Grecji niewolników i meteków, nie obejmowało w Polsce chłopa. (Porównaj wątpliwości w tym względzie Maćka nad Maćkami i Gerwazego w Panu Tadeuszu, wątpliwości, których rozwiązanie Gerwazy widzi jedynie w dopuszczeniu chłopa do herbu, to jest we wcieleniu go do warstwy rządzącej).

Dlatego uznanie, że w s z y s c y ludzie rodzą się równymi, było aktem rewolucyjnym. Głęboki sens mistyczny tej deklaracji leży w akcie wiary, że wspólność człowieczeństwa przerasta wszelkie różnice między jednostkami, które stają się tak drobnymi w porównaniu z tą istotną wspólnością, że niepodobna na tych różnicach opierać porządku społecznego.

Nic więc dziwnego w tym, że antydemokratyczne koncepcje totalitarne przede wszystkim pojęcie równości zwalczają i przeciwstawiają mu pojęcie „Fuehreprinzip" i pojęcie hierarchizacji społeczeństwa. Hierarchizacji, która w reżimie hitlerowskim z jego Ordensburgami dla kształcenia nowej elity, z systemem selekcji żon dla członków SS, celem zapewnienia jej dziedziczności, przeradzała się już w kastowość.

I dlatego głęboko antydemokratyczną jest koncepcja ustrojowa wyrażona w jednym ze świeżych dokumentów jednego z odłamów naszej emigracji.

„Wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne".

Jest wreszcie jeden element mistyki demokracji, element o którym się często zapomina, a który jest może najistotniejszym. Tym elementem jest przekonanie, że celem demokracji jest szczęście jednostki.

Deklaracja niepodległości amerykańska wyraźnie zupełnie „pursuit of happiness" postawiła jako zasadnicze prawo człowieka. Ten sam motyw z trybuny Konwentu podkreślił St. Just dodając, że „Idea szczęścia jest nowa w naszym świecie".

Oczywiście ludzie zawsze dążyli do szczęścia. Ale chrystianizm kazał im szukać go w życiu przyszłym. Epikureizm, który zasadę szczęścia postawił jako zasadę naczelną popadł w pogardę jeszcze w świecie starożytnym. Ludzie szukali szczęścia, ale wstydliwie. W każdym zaś razie nikomu nie przychodziło do głowy, by rzeczą społeczeństwa było zapewnienie szczęścia obywateli.

Wiek XIX pozostawił w spadku dwa hasła demokratycznego i antydemokratycznego podejścia do sprawy szczęścia jednostki. Guizot, klasyczny przedstawiciel demokracji burżuazyjnej rzucił hasło „Enrichissez vous". A z drugiej strony Renu mówiono z dumą „Preussen hat sich grossgehungert".

Na pozór hasło Guizota jest hasłem czysto materialistycznym, a hasło pruskie dumnym stwierdzeniem idealizmu zdolnego do poświęcenia szczęścia osobistego na rzecz celów wyższych. Ten sam akcent idealizmu ma i hasło hitlerowski „Gemeinnutz geht vor Eigennutz" lub jego polskie sformułowanie „Pożytek publiczny przed pożytkiem jednostkowym".

Nikt nie przeczy, że zbiorowość, że naród mają prawo wymagać od jednostki poświęcenia nie tylko szczęścia, ale i życia. „Dulce et decorum est pro patria mori" mawiali rzymianie. Pamięć Leonidasa i trzystu spartańczyków jest po dziś żywa. I póki będą Polacy na świecie, póty pamięć niezliczonych naszych męczenników wolności, co zginęli w stepach sybirskich, na stokach cytadeli warszawskiej, lub w piekle Oświęcimiów będzie czczona.

Postawienie hasła szczęścia jednostki jako normy życia zbiorowości nie oznacza zwolnienia jednostki z jej obowiązków względem zbiorowości. Ale oznacza ono, że naród, że państwo nie są abstrakcjami, nie są żadną hypostazą rządzącą się swymi własnymi prawami, a są jedynie zbiorowością ludzi, którzy się na nie składają. Oznacza ono, że Polska nie może być wielką i potężną i szczęśliwą, jeżeli Polacy w Polsce żyjący będą biedni i nieszczęśliwi.

Hasło Guizota nie co innego oznacza. Zostało ono tak a nie inaczej sformułowane, bo Guizot tak jak cała jego epoka wierzyli w to, że o ile państwo nie będzie przeszkadzało normalnemu rozwojowi sił ekonomicznych to automatyzm rynku i indywidualne wysiłki każdego obywatela zapewnią mu szczęście osobiste.

Dziś ta wiara upadła; dzisiaj żądamy od państwa a k t y w n e j interwencji dla zapewnienia możliwości szczęścia obywatelom. Takim jest sens „freedom of want" Roosevelta, takim jest sens brytyjskiego hasła „social security".

Koncepcja jednak, że to szczęście jednostki jest celem organizacji społecznej pozostała niezmienna.

A co mówi Hitler? „Epoka szczęścia indywidualnego minęła" (Rauschning, Rozmowy z Hitlerem.).

Dobiegliśmy końca naszego rozumowania. Demokracja w swej istocie to nie tylko i nie przede wszystkim pewna mniej lub wię-

cej racjonalna forma rządzenia. Jest ona wyrazem wiary, że miarą wartości społeczeństwa jest człowiek, że człowiek jest z natury dobry, a więc winien być wolny, że sam fakt wspólności człowieczeństwa tak przerasta różnice między jednostkami, że zasadą społeczną winna być równość, że dążenie do szczęścia osobistego nie jest grzechem, a jest świętym prawem każdego człowieka i że obowiązkiem społeczeństwa jest szczęście to zapewnić.

I w imię tej wiary właśnie walczymy dzisiaj z totalizmami, które w człowieku widzą jedynie budulec pałaców i pomników państwowego Molocha.

OBOWIĄZEK AMERYKI

PRZEMÓWIENIE
WICEPREZYDENTA HENRY WALLACE'A, WYGŁOSZONE W DETROIT
MICHIGAN 25 LIPCA 1943 r.

Trzy miesiące temu byłem w Ameryce Południowej i mogłem stwierdzić, że nawet najbiedniejszy „peon" łączy z osobą Prezydenta Roosevelta nadzieje lepszej przyszłości powojennej. Nie inaczej jest w Chinach i w krajach okupowanej Europy. Znam Prezydenta Roosevelta dobrze od lat dziesięciu i przekonałem się, że w ostatecznej decyzji zawsze stawiał prawa ludzkie na pierwszym miejscu. Istnieją potężne grupy, które chętnie skorzystałyby z zaangażowania się Prezydenta w wysiłku wojennym by zniweczyć wszystko to czego w ciągu lat dziesięciu dokonał w życiu wewnętrznym narodu. Jedni nazywają te potężne grupy „izolacjonistami", drudzy „reakcjonistami", jeszcze inni, sądząc z analogij europejskich nazywają je „amerykańskimi faszystami".

Wcześniej czy później, machinacje tych nielicznych, lecz potężnych grup, stawiających władzę i pieniądze na pierwszym, a ludzi na ostatnim miejscu zostaną wydobyte na światło dzienne. Nie o nich będę mówił, gdyż dziś pragnę mówić o Ameryce jutra.

Są ludzie, którzy pragnęliby trwać przy czymś co uważają za realia chwili bieżącej. Na każde pytanie o celach pokojowych mają gotową odpowiedź — nie należy mówić o niczym innym jak tylko o wojnie.

Są inni, którzy pragnęliby trwać przy czymś co uważają za realia przeszłości. Na każde pytanie dotyczące pokoju mają jedną odpowiedź: Czekajmy co Rosja i Anglia zrobią zanim przygotujemy nasze własne plany.

Obie te szkoły myślenia prowadzą akcje opóźniające przeciwko naszemu przeznaczeniu w nadchodzącej erze pokojowej, przeznaczeniu, które wzywa nas do objęcia przewódctwa świata.

Gdy złożymy broń jako zwycięzcy w tej wojnie przeciwko ujarzmieniu myśli i ducha ludzkości, musimy natychmiast podjąć broń w wielkiej wojnie przeciwko nędzy, bezrobociu i monopolizowaniu rynków świata.

Pragniemy pokoju, który byłby czymś więcej aniżeli chwilą wytchnienia między zagładą jednej tyranii a narodzinami drugiej.

Nie zadowolimy się pokojem, który od obozów koncentracyjnych i zbiorowych morderstw faszyzmu poprowadzi nas do dżungli międzynarodowej gangsterskich rządów uzależnionych od pijanych władzą i opętanych żądzą posiadania imperialistów.



HENRY WALLACE, Viceprezydent St. Zjedn. Amer. Płn.

Nie ma uświęconych Praw Nędzy ani „Magna Charty" niewolnictwa. Wszędzie tam, gdzie nadzieje ludzkości są tłumione, tkwią zarodki rewolucji.

Świat czekał na naszą inicjatywę poprowadzenia go do pokoju ludów po pierwszej wojnie światowej, myśmy jednak postanowili odosobnić się i kroczyć własną drogą.

Głód i bezrobocie posiało ziarno z którego zrodzili się zbrodniczy łupieżcy faszyzmu. Jedynym ich lekarstwem na niedostatek była wojna. Jedyną ich odpowiedzią na nędzę i brak wszelkich możliwości rozwojowych był pierwszy artykuł wiary hitleryzmu: Grabić sąsiadów. Propaganda nasza po pierwszej wojnie światowej zbyt często wspominała o niewdzięczności naszych sprzymierzonych. Oddaliśmy najlepszą naszą krew i skarby obfite po to tylko by zasłużyć na opinię sobkostwa.

Zmieniliśmy to sobkostwo na krótkowzroczność i powiedzieliśmy sobie „Już Nigdy Więcej".

Iluż z nas powie po tej drugiej światowej pladze cierpienia: „Już Nigdy Więcej?"

Czy nigdy już więcej nie weźmiemy udziału w szukaniu pokoju światowego? Czy też raczej powiemy że już nigdy więcej nie będziemy żyć w odosobnieniu na Wyspie Złudnego Bezpieczeństwa? Nie wolno nam bowiem po raz drugi cofnąć się przed odpowiedzialnością za współpracę międzynarodową.

Pokolenie nasze musi zdobyć się na hart i sztukę stworzenia świata zabezpieczonego przed wojną. Nie wolno nam zostawić dzieciom naszym w spuściźnie jeszcze jednej krwawej masakry.

Przewództwo świata musi zająć się raczej polityką opieki społecznej aniżeli polityką siły, musi zwracać więcej uwagi na wyrównanie zużycia surowców przez poszczególne narody oraz na potępianie polityki załapywania i handlu wymiennego w naturze, które zamrażają rynki międzynarodowe, musi być bardziej zainteresowane w otwieraniu nowych dróg handlowych aniżeli w zamykaniu dróg istniejących przez wznoszenie prohibicyjnych taryf celnych, musi być bardziej świadome potrzeby stałej waluty dla wszystkich krajów aniżeli chęci uzyskania wyższej stopy procentowej od pożyczek. Przewództwo światowe musi wysilać się raczej nad zapobieżeniem by polityczni podpalacze nie wzniecali płomieni rewolucyj, aniżeli gaszeniem pożarów po ich rozniecеniu.

Ale współpraca światowa nie zdoła wymusić poszanowania dla tych mierników międzynarodowej sprawiedliwości i bezpieczeństwa przy pomocy papierowej dyplomacji i luźnej kontroli.

Nie stoi przed nami wybór między hitlerowskim światem niewolnictwa a przestarzałym wypoczynkiem „czasów normalnych". Defetyści mówiący o dawnych dobrych czasach amerykanizmu mają na myśli czasy obfitości dla wybranych a nędzy dla mas.

Ani też nie stoi przed nami wybór między zamerykanizowanym faszyzmem a powrotem do przedwojennego niedostatku i bezrobocia. Zbyt liczne miliony ludzi wyszły z ciemnych piwnic i z nędzy bezrobocia, by kiedykolwiek wrócić do nich z powrotem.

Musimy wybrać między demokracją dla wszystkich lub dla wybranych, między gruntowaniem bezpieczeństwa społecznego i otwieraniem możliwości gospodarczych dla wszystkich ludzi lub też skupianiem naszych obfitych bogactw w ręku samolubstwa i chciwości.

Naród amerykański wszedł w ten kryzys całej ludzkości z czystym i odważnym sumieniem. Wyrzeczenia i ograniczenia tej wojny zmusiły każdą rodzinę, każdą gminę do szukania niewzruszonych podstaw wiary.

A gdy nastanie pokój — wychowanie w duchu tolerancji będzie nie mniej ważne od produkcji telewizji. Wyprodukowanie godziwej strawy dla każdej rodziny wymagać będzie tyleż planowania co fabrykacja nowych samochodów, chłodni elektrycznych czy innych maszyn. Wspólnie z Anglią, Rosją i Chinami, naród nasz będzie mógł wywrzeć olbrzymi wpływ gospodarczy i moralny na zawarcie pokoju. W międzyczasie niejeden z naszych patriotycznych i przewidujących obywateli zapytuje: Dlaczegobyśmy nie mieli zaraz wprowadzić „Czterech Wolności" u siebie w domu?

Mają oni słuszność. Pełniejsza demokracja dla wszystkich jest trwałym środkiem zapobiegawczym przeciwko wojnie. Demokracja ograniczona tylko do pozorów rodzi niesnaski i konflikty klasowe szukające rozwiązań przy pomocy armat.

Nie możemy walczyć za granicami naszego kraju przeciwko gwałtom hitleryzmu i pozwalać na rozruchy antymurzyńskie u siebie w domu. Ci co rozniecają ogień nienawiści rasowej dla korzyści politycznych w kraju, stawiają pierwsze kroki na drodze wiodącej do hitleryzmu.

Nie możemy domagać się równości startu dla wszystkich narodów a nie dostrzegać, że miliony naszych własnych obywateli pozbawionych jest prawa wyborczego. Każdy obywatel Stanów Zjednoczonych, bez względu na barwę skóry lub wyznanie, niezależnie od tego czy zamieszkuje w miejscu swego urodzenia czy też przeniósł się do ośrodków przemysłu wojennego, lub poszedł na front, ma prawo oddania głosu w wyborach.

Nie możemy ofiarowywać planów i rzemieślników do odbudowy zbombardowanych miast w innych krajach i przeszkadzać w odbudowie naszych miast. Dzielnice ruder muszą zniknąć z miast amerykańskich.

Nie możemy dopomagać w opatrywaniu ran świata spustoszonego wojną a równocześnie zaniedbywać zdrowia naszego własnego narodu.

Nie możemy marzyć o zwalczaniu analfabetyzmu u innych narodów jeśli nie przezwyciężymy ignorancji zaciemniającej mózgi całych odłamów naszego narodu. Demokracja może wtedy tylko skutecznie pracować dla lepszej przyszłości, będącej jej przeznaczonym dziedzictwem, jeśli wszyscy ludzie otrzymają możliwość pełnego wykształcenia.

Świat stał się jednym sąsiedztwem. Przekonaliśmy się, że klęska głodu w Chinach zagraża naszemu własnemu bezpieczeństwu, że pozbawieni możności pracy Hindusi są braćmi naszych bezrobotnych. Podniesienie produkcji w innych krajach nie obniży naszej stopy życiowej. Przeciwnie podniesie ją, gdyż żadne przedsiębiorstwo nie dorobi się bez dobrze prosperujących odbiorców.

Przeciętny Amerykanin nie jest może ekspertem we wszystkich objawach naszego gospodarczego i politycznego życia. Być może iż nie rozumie dokładnie powikłań systemów monetarnych i rynków. Być może, iż nigdy nie oswoi się całkowicie z komplikacjami handlu światowego wytwarzanymi przez taryfy celne i kartele. Może nie rozumie się na parytecie, cenach płodów rolnych i premiowaniu.

Ale przeciętny Amerykanin wie co mu grozi gdy przychodzi inflacja, gdy ceny idą w górę szybciej aniżeli zarobki i dlatego wie że najnikczemniejszym kłamstwem jest twierdzenie iż wywoływanie braków wiedzie do wzbogacenia. Ludzie prości w Ameryce, żołnierze amerykańscy w armiach ekspedycyjnych chcą nieskrępowanej przedsiębiorczości i pełnego zatrudnienia. Chcą, by nowe wielkie fabryki przemysłu wojennego przeszły po wojnie na produkcję artykułów potrzebnych w czasie pokoju. Wiedzą, że nabyli znajomości nowych rzemiosł i sądzą że znajomość ta winna być wykorzystana. Przeciętny człowiek w Ameryce wie, że możemy wyprodukować i skonsumować wszystkie te dobra, które są niezbędne dla podniesienia stopy życiowej. Chce on i musi mieć pracę zapewniającą mu dostatek żywności i odzieży, własny dom i samochód i możliwość kształcenia dzieci.

Zdaje on sobie sprawę, że wysokie cła ochronne naszych rynków prowadzą do odwetu i bojkotu w innych krajach. Wie, że żadna koalicja narodów nie ostoi się pod nieobliczalnym naporem monopolów pieniądza i handlu. Był świadkiem załamania się sankcyj pod auspicjami Ligi Narodów i wzmocnienia dyktatury w której naród widział możliwość wyzwolenia się spod jarzma gospodarczego. Jest przekonany, że narody muszą się zorganizować na głębszej podstawie aniżeli umowy handlowe i pakty nieagresji. Budowniczowie pokoju muszą przewyższyć sprawców wojny w odwadze i imaginacji.

Rok temu przytoczyłem cztery obowiązki Rewolucji Ludowej:

1. Obowiązek maksymalnej produkcji.
2. Obowiązek dostarczenia jej z największą szybkością na pola walki.
3. Obowiązek walki całą naszą mocą.
4. Obowiązek zbudowania sprawiedliwego, miłosiernego i trwałego pokoju.

Miliony naszych obywateli w biurach, i fabrykach, na roli, w kopalniach, szybach naftowych i lasach przyjęło już te zobowiązania z właściwą Amerykanom odwagą i determinacją. Składają bohatersko największe ofiary by przyspieszyć zwycięstwo. Ale jeśli wojna nakłada obowiązki, pokój wymaga przyjęcia odpowiedzialności. Istnieją trzy główne odpowiedzialności w czasie pokoju:

1. Odpowiedzialność za oświatę powszechną.

2. Odpowiedzialność za mobilizację produkcji pokojowej zapewniającą pełne zatrudnienie.

3. Odpowiedzialność za planowanie kooperacji światowej. Amerykańska prasa, radio, szkoły i kościół, niepodlegające rządowi czy też interesom grup kapitalistycznych, mogą przed narodem roztaczać wizję wolności i obfitości nowej w Ameryce przyszłości. Te wielkie narzędzia oświaty mogą wychować nas w szacunku dla podstawowych zasad przyzwoitości i zrozumienia, które są niezbędne jeśli potęga nasza ma się stać błogosławieństwem a nie przekleństwem dla świata.

Ruch robotniczy zaczyna brać udział w oświecaniu publiczności. Zaczyna dowodzić ponad wszelką wątpliwość, że 97 procent robotników współpracowało na 100 procent z rządem w wysiłku wojennym. W przyszłości ruch robotniczy wykaże w coraz większym stopniu, że może współpracować zarówno z pracodawcami jak i z rolnictwem w tych dziedzinach, w których prowadzi to do

zwiększenia zatrudnienia, wzrostu produkcji i wyższej stopy życiowej. Naród amerykański zdaje sobie sprawę, że drugim krokiem na drodze do hitleryzmu jest zniszczenie związków robotniczych. Są i u nas karzełkowaci Hitlerzy nieustannie napadający na organizacje robotnicze. Są demagogowie, ślepi na błędy innych grup, którzy nieustannie wołają „Sympatyzujemy z robotnikami, ale...". I jedni i drudzy są wrogami Ameryki. I jedni i drudzy zniszczyliby związki robotnicze gdyby mogli. Ruch robotniczy winien dobrze odróżniać przyjaciół od wrogów.

Druga odpowiedzialność, zmobilizowanie pokoju dla celów pełnej produkcji i pełnego zatrudnienia wystawi na próbę najlepsze mózgi i najżywsze wyobraźnie w naszym wielkim i małym przemyśle, w naszych związkach przemysłowych i związkach robotniczych i w naszych instytucjach finansowych.

Gdy umilkną armaty, Ameryka posiadać będzie następujące bogactwa:

1. Miliony robotników. Miliony wykwalifikowanych robotników z przemysłów wojennych.
2. Największy na świecie przemysłowy potencjał produkcyjny.
3. Największe bogactwa naturalne i syntetyczne dla celów produkcji pokojowej i tysiące nowych wynalazków czekających na zastosowanie ich do użytku pokojowego.
4. Największe na świecie naukowe urządzenia uprawy ziemi.
5. Największe na świecie zapotrzebowanie na domy mieszkalne, środki transportowe i przewozowe oraz artykuły codziennego użytku.
6. Największe zasoby nagromadzonych oszczędności indywidualnych jakie kiedykolwiek istniały w jakimkolwiek kraju.

Przy takim bogactwie, kto waży się powiedzieć, że naród nasz bankrutuje? Jeśli kierownicy przemysłu wniosą tyleż mądrości do produkcji pokojowej ile wykazali w wielu gałęziach produkcji wojennej, otworzą się przed nami jasne widnokręgi. Byliśmy świadkami wielu przykładów mądrego kierownictwa przemysłowego, kooperacji z związkami robotniczymi dla celów podniesienia produkcji i obniżenia kosztów. W stu różnych gałęziach przemysłu wojna wykazała, że pracodawcy mogą przyjaźnie współpracować z robotnikami w służbie narodu.

Przemysł nasz, związki pracodawców i instytucje kredytowe muszą otworzyć szerzej możliwości udziału robotniczego. Mają do wyboru wejście w nowy świat znacznie zwiększonej produkcji z nowym zapasem energii i szerszym spojrzeniem lub też trwożliwe wyczekiwanie inicjatywy rządu w rozbudowie produkcji i konsumpcji.

Jeśli mamy zmobilizować produkcję pokojową w służbie całego narodu, musimy zerwać całkowicie z ekonomią pochodzącą z wieku niedostatku. Zbyt wiele przedsiębiorstw dorabiało się przez zapobieganie zastosowaniu nowych wynalazków, przez utrzymywanie wysokich cen i zmniejszanie produkcji. Tak było w roku 1932, gdy ceny narzędzi rolniczych i samochodów obniżono o zaledwie 15 procent, podczas gdy produkcja obniżona została o 75 procent. Doświadczenia tego roku przepoiły opinię amerykańską wstrętem do gospodarstwa wieku niedostatku. Jeśli nasz demokratyczny kapitalizm ma się utrzymać musi stać się

kapitalizmem obfitości i pełnego zatrudnienia. Jeśli wrócimy do kapitalizmu niedostatku, który doprowadził do przesileń lat 1929-1932 doczekamy się, że wracający żołnierze i robotnicy zwolnieni z fabryk przemysłu wojennego przemówią niedwuznacznym językiem.

Trzecia odpowiedzialność — planowanie kooperacji światowej wyrośnie z otwartej i pełnej współpracy narodu z rządem. Zagadnieniami zapalnymi zajmiemy się po wojnie. Dziś miliony w Europie i w Azji żyją jedną tylko myślą o zdobyciu pożywienia.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

PRZEMILCZANA KSIĄŻKA

Parę miesięcy temu ukazała się na półkach księgarskich, jak to się ongi mówiło, niewielka lecz treściwa książka, która — tak się zdawało — winna była ze wszech miar zwrócić powszechną uwagę. Produkcja literacka jest bowiem coraz, ale to coraz słabsza, roi się tylko od broszurek w których na paru stronach coraz to inny autor podaje nam w coraz to gorszej polszczyźnie swe recepty na zbawienie Polski przy uwzględnieniu łaskawym i reszty świata. Co drugi artykuł daje asumpt czterem co najmniej pismom i dziesięciu co najmniej publicystom do napisania na ten temat swych własnych uwag; a grafomani których już nie drukuje żadne pismo wyskrobią przynajmniej z tej okazji po kilka „listów do redakcji". A teraz — nic. Jakto? Wyszła nareszcie książka, solidna książka. I nic. W dodatku jest to książka na temat skądinąd zdaje się ważny, a nawet na parę tematów naraz! Przede wszystkim to pierwsze od czasów książki Norwida Neugebauera opracowanie kampanii wrześniowej. Zdaje się że temat taki znowu nie obcy. Dalej — w odróżnieniu od powściągliwej książki Neugebauera — jej autor wdaje się w ocenę naszych przygotowań wojskowych sprzed września. Następnie — także w odróżnieniu od Neugebauera — wypowiada i o przygotowaniu i o przebiegu kampanii pewne sądy, nieraz bardzo surowe, a zawsze oparte na zdumiewająco obszernym materiale faktów. Dla historyka będzie ta książka wprost kapitalnym świadectwem, czymś takim jak Mochnacki dla powstania listopadowego, jak Niemcewicz dla klęski pod Maciejowicami. A tu prasa polska, jakby się umówiła; cicho, sza! Milczą nasi co tygodniowi prorocy wojenni, nasi kaznodzieje. Tajne pisemka, wydawane wiadomo przez kogo, ale protegowane nie wiedzieć przez kogo znają — podobno — teksty not dyplomatycznych, ale tej książki, jawnej, podpisanej, choć przemyślanej szczególnie, nie dostrzegły. Czemu? To jasne dla tych co wiedzą komu służy karnie owa tajna prasa, dlaczego nie pisnęła słowa o książce w symbolicznie czarnej okładce, pod znamiennie gorzkim tytułem „Wojna bez legendy". Wydanej nakładem własnym. A napisanej przez niejakiego pana Ludwika Schweizera, który jest — słuchajcie, słuchajcie! pułkownikiem dyplomowanym. To znaczy polskim wyższym oficerem sztabowym. To znaczy jednym z tych kilkuset ludzi którzy byli rdzeniem armii przedwrześniowej, widzieli rzeczy z bliska, znali je od środka. Mógł zostać generałem... (Po tej książce na

pewno nie zostanie.) To tak jakby naraz członek najwyższego kolegium N.K.W.D. napisał nam książkę „Kak my prawili w Rassii". To tak jakby ktoś ze Sztabu Himmlera, Keitla czy Goeringa napisał nam „Wie kämpfte das Deutsche Reich". To czego nie mógł dostrzec gołymi oczyma obywatel, czego się nie widzi na stopniach podchorążackich czy innych, to pułkownik Schweizer widział — i o tym pisze.

A dlaczego ją napisał — sam nam wyjaśnia:

> Uważam za obowiązek swój i dług względem żołnierzy, którymi dowodziłem, opisać, jak swą postawą i nieugiętym duchem ratowali z widocznej już katastrofy to, co do ratowania w beznadziejnej walce pozostało — honor żołnierski.
>
> Nie znajdzie więc czytelnik w tym opisie żadnych wielkich sukcesów i zwycięstw, — bo nie mogło ich być w wojnie, w rezultacie której naród wszystko stracił.
>
> Znajdzie w nim natomiast wojnę szarą, powszednią, szarpiącą nerwy i duszę. Wojnę straszną — bo bez podniety sukcesu. Wojnę taką, jaką ona była dla większości synów Polski. Wojnę, w której walory ducha wykonawcy nie zrównoważyły braków umysłu i charakteru góry. Wojnę, w której jeszcze jeden wróg się dołączył — brak kierownictwa.
>
> Będzie to prawda. Prawda naga i przykra, czasem zawstydzająca i okrutna, ale taka — jaką ta wojna była.
>
> Wiem, że prawda ściąga odium na mówiącego.
>
> Lecz tylko prawda potrzebna jest narodowi i żołnierzowi za cenę tak drogiej zapłaty. Potrzebna jest, by ocknął się z legendy w której żył i wyciągnął lekcję z nieszczęścia, wykluczającą jego powtórzenie się. Dlatego celem moim jest jej wypowiedzenie, bez oglądania się na nikogo i na nic.

Istotnie, jednego w każdym razie nikt pułk. Schweizerowi nie zarzuci. Nie ogląda się na nikogo i na nic. Tym ciekawsza jest zatem ta przemilczana książka, tak warta czytania — i cytowania. Cytujmy tak jak pisze pułk. Schweizer. Od początku. To znaczy nie od 1 września, ale już od próbnej, marcowej mobilizacji jego jednostki. Jakże wypadła?

> Otóż w dziedzinie tej okazały się wielkie braki: — transporty po otrzymaniu rozkazu pogotowia zamiast 3-ch godzin czekały dużo dłużej, w jednym wypadku 26 godzin, co przy śniegu i wietrze było tym bardziej uciążliwe — że niepotrzebne.
>
> Żaden z rozkładów jazdy nie okazał się aktualnym. Wskutek tego ludzie zużyli w drodze porcję rezerwową.
>
> Niepunktualność oraz niedokładność kierownictwa — i to przy częściowej mobilizacji, dla oficera znającego swój fach, była przykrym horoskopem na przyszłość.
>
> Reasumując, mobilizacja pułku wykazała:
>
> — Stawiennictwo ludzi wzorowe.
>
> — Stawiennictwo koni i sprzętu taborowego dostateczne (małe opóźnienia i braki w koniach i wozach).
>
> — Braki w magazynach na nadwyżki ludzkie: umundurowania, broni.
>
> — Nieprzysłanie z centrali specjalnego wyposażenia, jak radio. część broni maszynowej, które w myśl tabel mob. musiały być dosłane do pułku z chwilą ogłoszenia mobilizacji.
>
> — Niedociągnięcia w planie transportów kolejowych, dotyczące rozkładów jazdy.
>
> Te smutne myśli odpędzał jednak wzniosły nastrój ludzi. Wychowani w duchu patriotycznym i rycerskim oficerowie, podoficerowie oraz żołnierze cieszyli się, że wreszcie będą mogli swą tężyznę wykazać. Dochodziła do tego radość wyrwania się z zegarkowego życia garnizonowego, jazda w nowe strony, w inne warunki, nadająca przyszłości czar tajemnicy i niepewności — tak drogie naturze ludzkiej. Niewielu zdawało sobie sprawę, że do garnizonu nie wrócą. Nikt — że za pół roku Ojczyznę utraci.

Jakżeż wyglądały te pułki, bitne, bo Polaka dom rodzinny i szkoła uczyły patriotyzmu, a nie uzbrojone — bo tego ani matka, ani szkoła nie miały za zadanie;

Dla oficera który śledził postęp techniki wojennej ostatnich lat dwudziestu widok ten był smutny. Nawet przyjmując, że w grożącym konflikcie, szczęśliwym zbiegiem losu, szwadron polski zetknie się ze szwadronem niemieckim, dysproporcja była ogromna. Szwadron niemiecki broni maszynowej 27, ludzi przeszło 150. Szwadron nasz broni maszynowej 4, ludzi około 100. Zupełny brak u nas broni przeciwlotniczej, zaś dobre jako sprzęt cztery sieroty — działka przeciwpancerne — przez archaiczny zaprzęg konny miały wszelkie szanse w wojnie ruchomej z czołgami ulec zniszczeniu przed wejściem do akcji. Za szwadronami i pułkami ciągnęły tabory: najpierw, wozy pułkowe, choć liche — ale typowe, potem, kolumny taborowe — poleskie, jednokonne wózki na drewnianych osiach, zaprzągnięte w „dugę". U Niemców wszystko zmotoryzowane. Ich samochód podnosił 3 — 4000 kg — wóz w naszej kolumnie 300 kg.

Nie trzeba być wizjonerem, aby przedstawić sobie trudności jakie muszą wyniknąć w razie operacji z tego zacofania technicznego.

A, już w przededniu wojny, jak wyglądała praca góry wojskowej, wedle świadectwa tego wyższego oficera? Oto klasyczny przykład:

Oznak niezdecydowania, chaosu, świadczących o bezradności było dużo. Naprzykład, następujący fakt charakterystyczny. Brygada otrzymała od Naczelnego Dowództwa, w rejonie Sierpca a potem Lidzbarka, zadanie obronno-opóźniające. Ostatnią linią zatrzymania miał być Płock. Równocześnie Naczelne Dowództwo zaopatrzyło nas jedynie w mapy Prus tj. na północ od Sierpca. Map rejonu Płocka nie otrzymaliśmy. Wskutek tego, po opuszczeniu rejonu Lidzbarka, pułki do końca wojny map nie miały. A przecież przepisy określały jako wyposażenie mobilizacyjne każdego pułku komplet map całego państwa na każdego oficera i podoficera. Mapy nasze należały do najlepszych. Czasu na ich dostarczenie od marca do września było dość. Czym więc można wytłumaczyć dostarczenie map jedynie Prus?

Czym, panie pułkowniku? Ja panu powiem, czym. Właśnie w tym okresie cała polityczna Warszawa zajmowała się żywo przygotowaniem przyszłych wyborów na Prezydenta. Marszałek Śmigły-Rydz i ludzie jego otoczenia całą parą szli właśnie do władzy. Już nawet Beck im wadził. I, jak pan pisze, nie liczono się z wojną. Dlaczego? A no, widocznie, miano zły serwis informacyjny. Być może że i ten serwis informacyjny mniej się zajmował tym co robią Niemcy, — a znacznie bardziej tym co robią właśni obywatele...

A wysoko postawione koła miały wtedy jeszcze i inne zmartwienia:

Dowództwo brygady, od chwili przyjścia do Sierpca, zwróciło głównie uwagę na stronę propagandowo-towarzyską zespolenia wojska ze społeczeństwem (co nawiasem mówiąc nie było potrzebne, bo istniało). Przed otrzymaniem zadania, dostaliśmy wytyczne co do udziału wojska w Świętach Wielkanocnych oraz uroczystościach kościelnych. Po tym nastąpiła seria imprez towarzyskich, koncertów, konkursów i popisów.

Toteż, w rezultacie:

...od mobilizacji pułk ani razu nie był przeglądnięty, wyszkolenie ani stan gotowości nie były sprawdzone. Na odprawach wszelkie meldunki o brakach, jako też prośby i pytania o podanie konkretnego sposobu rozwiązania taktycznych zagadnień w związku z postawionym zadaniem — były brane za defetyzm, brak zaufania w swe siły i zbywane ogólnikami zaczerpniętymi z oficjalnej doktryny lub okolicznościowymi.

Jakżeż pracował, zapyta szary obywatel, nasz wywiad, gdzie był, skoro w armii, „właśnie w armii", dowództwo szerzyło takie wieści:

Naprzykład: niemieckie uzbrojenie to przesada. Czołgi ich nie zdały egzaminu w Austrii, gdzie leżały pokotem po szosach — cóż więc będzie na naszych bezdrożach? W Czechach żołnierz był źle ubrany, źle uzbrojony i źle wyszkolony itp.

O tym, jak mądrze była pomyślana nasza sławna tajemnica wojskowa wyraża się on, pułkownik dyplomowany dosyć dobitnie:

W związku z umundurowaniem, wprowadzono u nas przepis, że strój polowy nie może mieć żadnych odznak, — ani oddziałowych ani broni — i ma być dla całego wojska jednaki. Żołnierz tak ubrany, miał zakazane wyjaśniać — nawet na zapytanie starszego — do jakiego oddziału należy.

W ten sposób, stworzono raj dla szpiegów. Bo, wystarczyło szpiegowi ubrać się w mundur, by grasować wszędzie i na wszelkie zapytania, dążące do stwierdzenia jego tożsamości, odpowiadać „tajemnica wojskowa", za co nawet często mógł się spotkać z pochwałą. W czasie kampanii dnia 7-go września, pod Wyszogrodem przybyły tam batalion 41 pułku piechoty zdemaskował takiego szpiega, w mundurze kapitana.

A oto obraz naprawdę klasyczny. Tragicznie klasyczny:

W dwa tygodnie po przybyciu do Sierpca, otrzymał każdy dowódca pułku, tajemnicze skrzynie zaplombowane — z tajnym pismem, objaśniającym, że mają być trzymane pod osobistą odpowiedzialnością dowódców. Nie wolno ich otwierać. Jedynie na rozkaz Szefa Sztabu, ma być otworzona załączona, zalakowana koperta, podająca szczegóły tej tajemnicy. Z początku budziło to zaciekawienie. Z czasem pozostał jedynie ciężar posterunków, potrzebnych do jej strzeżenia. Wreszcie, dnia 23-go sierpnia, otrzymaliśmy rozkaz przywieść te skrzynie na miejsce, wyznaczone przez dowódcę brygady. Mieli się tam stawić: dowódcy pułków, dowódcy szwradronów oraz po trzech wyborowych strzelców na szwadron. Gdy wszyscy się zebrali w oznaczonym miejscu i czasie, nastąpiło zaprzysiężenie obecnych na tajemnicę, (prawdopodobnie by zmniejszyć wartość już raz złożonej przez wszystkich przysięgi), po czym, dowódca brygady oznajmił, że skrzynie zawierają karabin przeciwpancerny. Obecni strzelcy zostaną zapoznani z jego obsługą i oddadzą po pięć strzałów. Istnienie tego karabinu, sposób jego obsługi — pozostaje jednak tajemnicą. Po czym, protokólarnie otworzono skrzynie.

Zawarte karabiny okazały się produkcją szwajcarskiej firmy prywatnej — zatem, prawdopodobnie wszędzie były oferowane. Nie miały żadnego przysposobienia do noszenia czy wożenia. Skutek: broń, która prawdopodobnie nie była tajemnicą dla Niemców (bo nie nasz wynalazek) — stała się tajemnicą dla tych, którym służyć miała — dla ogółu żołnierzy. Oprócz jednego strzelca na karabin, który raz miał go w ręku — nikt jego obsługi nie znał. O sposobie transportu zapomniano — a przez zamknięcie do niej dostępu, do chwili wybuchu wojny uniemożliwiono pułkom wymyślenie sposobu przewożenia.

Dalej idzie pamiętnik wojenny, jako dowódcy pułku, zakończony na dniu 2 października, po całej sienkiewiczjadzie walk z Niemcami, bolszewikami, i — niestety, Ukraińcami, których nasza własna polityka zwróciła przeciwko nam. Nie będziemy go już wykrawać. Radzimy go za to przeczytać.

A i to pisze:

Analizując ściśle rzeczywistość należy szukać przyczyn ostatniej katastrofy we wszystkich dziedzinach naszego życia. Pewną ilość faktów z dziedziny wojskowej, z zakresu mi dostępnego, — z przebiegu działań 26-go pułku uł. — podałem z bezstronnością na jaką tylko zdobyć się mogłem.

Podanie do wiadomości ogółu spostrzeżeń i refleksji, jakie ta wojna mi nasunęła, uważam za swój obowiązek wobec:

— Ojczyzny, której wszystko zawdzięczam,
— pułku, którym miałem zaszczyt dowodzić,
— kolegów, którzy ją tak samo jak ja praktycznie doświadczyli.

Twardo. Jasno. Uczciwie. — A jakież są kwalifikacje fachowe pułk. Schweizera?

Upoważnia zaś mnie do zabrania głosu w tej materii odpowiednie

przygotowanie teoretyczne i praktyczne, nabyte w czasie trzydziestoletniej służby wojskowej. I tak:

— W roku 1914 skończyłem akademię wojskową w Wiener Neustadt.

— W roku 1926 szkołę sztabu generalnego w Paryżu.

— Wojnę 1914 - 18 przebyłem na froncie, z wyjątkiem roku 1917, kiedy byłem instruktorem w Wehrmachcie.

— Wojnę 1919 - 1921 odbyłem na froncie, kończąc ją jako zastępca dowódcy pułku, zdobywając Virtuti Militari.

— Pozostałą służbę spędziłem w oddziałach liniowych, gdzie miałem sposobność dokładnego poznania naszej machiny wojskowej od dołu do góry.

— Wojnę 1939 przebyłem z pułkiem, bijąc się jak umiałem i jak mogłem.

Nienajgorsze, wcale nie najgorsze.

A jak, zdaniem pułk. Schweizera, powinien był zachować się ten co tym wojskiem od lat kierował:

Gdy pierwsze dni wojny udowodniły, jak były mylne przewidywania a chaotyczne przygotowania i że sytuacji opanować się nie da, pozostawała kierownictwu jeszcze droga do wyjścia wskazana przez Poniatowskiego. Zadukomentowałoby to Narodowi, że nie pomylił się przynajmniej w jego dzielności osobistej. Oddziały zaś świadome obecności wśród siebie Naczelnego Dowództwa, na pewno kazałyby nieprzyjacielowi drożej opłacić zwycięstwo. W każdym razie nie zostałyby na polu walki same — z rumieńcem wstydu za nie.

Lecz i w tym Naczelne Dowództwo i sztab zawiodły. W całości i bez strat marszowych znalazły się poza granicami państwa, a wiele jego przedstawicieli „amci" dalej w Ministerstwie Obrony Narodowej, w Sztabie Naczelnego Wodza i w innych pomniejszych sztabach, stanowiąc ich kościec organizacyjny.

O legendzie i legendziarzach ma ten fachowy żołnierz bardzo jasne zdanie:

...upajano Naród niby opium legendą mocarstwowości. Usunięto od głosu tych, którzy jasno widzieli skutki tego rodzaju legendy. Zakazano o tym pisać prasie. Za dwadzieścia lat tej błogiej legendy i twierdzeń, że Rosja to lud bez inteligencji, a że Niemcom w 1918 r. poradziły nasze dzieci — Naród drogo zapłacił.

O, pułkownik Schweizer, nie lubi legendy; wie jak szkodziła w przeszłości; rozumie jak w przyszłości, może bliskiej, może jeszcze zaszkodzić. A widzi, widzi jasno, jak ta szkodliwa legenda codziennie narasta wokoło nas. Cóż robi ta legenda?

...stara się przedstawić naszą klęskę wrześniową jako konieczność, jako wynik splotu okoliczności od nas niezależnych. Ma być usprawiedliwieniem systemu i kliki, która go stworzyła i która była przyczyną nieszczęścia. Jej autorzy chcą trafić do szerokich mas kultem dla Wielkiego Marszałka, by usprawiedliwić spadkobierców, którzy spaczyli jego intencje.

Dlaczego, jest to jasne, są ludzie — wpływowi wciąż i możni — którzy muszą się jakoś wybielić z tego że są odpowiedzialni za tę największą klęskę jaką Naród Polski poniósł w ciągu tysiąclecia swej historii. Muszą więc ją umniejszać. Muszą pisać, głosić i szeptać, że to i tak być musiało, że trudno, że los taki, że „wszyscy są winni". Ostatnio słyszeliśmy nawet nowe określenie użyte o Wrześniu; że to była tylko „porażka militarna". To nie był lapsus linguae. To był fragment roboty, prowadzonej przez grupę silną, zwartą i gotową by wrócić do władzy.

To też każdy, kto chce wiedzieć prawdę, kto chce abyśmy skończyli z tym stanem rzeczy, kto chce popierać ludzi głoszących śmiało niebezpieczne prawdy, niech przeczyta książkę pułkownika Schweizera.

IGNACY WIENIEWSKI

PROBLEM JĘZYKA MIĘDZYNARODOWEGO

Na terenie Londynu działa obecnie, jak wiadomo, dosyć spora ilość organizacyj międzynarodowych, względnie doraźnych komisyj przez nie wyłonionych. Zajmują się one rozmaitymi problemami związanymi z urządzeniem świata powojennego. Wspólnym mianownikiem tych prac jest założenie, iż dotychczasowa anarchia w stosunkach międzynarodowych musi ustąpić miejsca ładowi, opartemu na harmonijnej i twórczej współpracy w dziedzinie politycznej, społecznej, ekonomicznej i kulturalnej. Że ten ład może być zbudowany jedynie na ideałach etyki chrześcijańskiej w stosunkach zarówno między jednostkami, jak między narodami i państwami, na ideałach sprawiedliwości społecznej i prawdziwej demokracji, podeptanych przez systemy totalistyczne, ta prawda staje się coraz bardziej oczywista.

Wśród zagadnień, dotyczących organizacji stosunków międzynarodowych po wojnie, nie ostatnie miejsce zajmuje sprawa języka międzynarodowego. Mnogość języków jest, jak wiadomo, nie od dzisiaj czynnikiem, który poważnie utrudnia twórczą współpracę państw i narodów. Trudności tej, trapiącej świat od czasów wieży Babel, nie usunęły dotychczasowe próby — świadome lub nieświadome — wprowadzenia języka uniwersalnego. Grecka „koiné” ustąpiła po kilku wiekach mowie Rzymian; łacina — najtrwalsza, jak dotąd, więź językowa cywilizowanej ludzkości — skapitulowała po siedemnastu czy osiemnastu stuleciach przed francuszczyzną; ta zaś, na oczach naszego pokolenia, schodzi na plan drugi, pokonana przez angielszczyznę. W międzyczasie, przede wszystkim w ostatnich dziesiątkach lat, pojawiały się mniej lub więcej efemeryczne próby języków (a raczej „języków”) sztucznych.

Nie ulega wątpliwości, że świat jest widownią paradoksalnego procesu. Z jednej strony kultura wszechludzka jednoczy się coraz bardziej i dzisiaj Anglik bliższy jest cywilizacyjnie np. Brazylijczykowi, niż był paręset lat temu mieszkaniec Londynu w stosunku do mieszkańca Edynburga. Z drugiej strony języki, wyrażające ową jednoczącą się kulturę, nie przestają się mnożyć. Narody bowiem, które w wiekach ubiegłych brały znikomy udział w budowaniu kultury powszechnej, dzisiaj, osiągnąwszy pełnię uświadomienia narodowego, wykazują szlachetną ambicję w kierunku własnego w tę kulturę wkładu, wyrażanego w ich własnych językach. Odmówienie im tego prawa byłoby i absurdem i niesprawiedliwością, tym bardziej, że kultura wszechludzka tylko wtedy będzie miała rację bytu i tylko wtedy będzie czynnikiem dodatnim, jeżeli uszanuje indywidualności poszczególnych narodów i ich dorobków cywilizacyjnych. W rezultacie jednak owa „anarchia językowa” (jak ją nazwał wielki lingwista A. Meillet), cechująca współczesną epokę, stanowi walną przeszkodę dla międzynarodowej współpracy.

Najbardziej drastycznym środkiem, jaki miał zaradzić tej trudności, były próby stworzenia języka sztucznego. Autorzy tych prób wychodzili ze słusznego założenia, że żaden język żywy któregokolwiek z narodów współczesnych nie potrafi w pełni odegrać roli języka powszechnego z powodu ambicyj poszczegól-

nych narodów; a trzeba pamiętać, że uznanie któregoś z tych języków za międzynarodowy zapewniłoby dotyczącemu narodowi (państwu) olbrzymią przewagę nie tylko kulturalną, ale i polityczną. Wyszedłszy jednak z tego trafnego założenia, twórcy volapüku czy esperanta, ida czy interlinguy, novialu czy occidentalu doszli do błędnych wniosków.

Chodzi po prostu o to, że tzw. język sztuczny nie jest językiem. Nie tylko dlatego, że jest sztuczny, że przeto nie posiada tych cech, które uznał za istotne dla mowy ludzkiej Wundt w swej „Völkerpsychologie": organiczności i organicznego rozwoju. Ważniejsze jest to, iż język nie jest tylko mechanicznym środkiem porozumiewania się, jak sygnały optyczne, telegraf, czy gesty głuchoniemych. Musi on być przede wszystkim wykwitem jakiejś określonej kultury i kulturę tę wyrażać i odzwierciedlać. „Język" sztuczny jest tym w stosunku do prawdziwego języka, czym jest robot w stosunku do człowieka. A wreszcie nie zapominajmy, że „języków" sztucznych istnieje spora garść i np. zwolennicy interlinguy nie mają podobno zamiaru kapitulować przed esperantystami. Trzeba by więc z tych wszystkich „języków" utworzyć nowy amalgamat, mający odgrywać rolę „języka" uniwersalnego...

Główny i właściwie jedyny argument esperantystów, że ich język jest łatwy, nie wytrzymuje krytyki. Bo po pierwsze łatwość sporządzenia jakiegoś narzędzia nie dowodzi jego praktyczności w użyciu. Po drugie zaś, w esperancie łatwa jest jedynie gramatyka (nie nastręcza ona trudności i w języku angielskim); co zaś do słownictwa, jest ono łatwe tylko dla tych, którzy poznali uprzednio kilka języków (z których esperanto jest zlepkiem). A przecież chodzi właśnie o to, by język pomocniczy z a s t ą p i ł naukę innych języków.

Nic dziwnego, że ta droga zawiodła. Mimo sukcesów odniesionych przez esperantystów dzięki energicznym zabiegom ich organizacji, sukcesy te nie okazały się trwałe. Już w pierwszych latach po wojnie światowej, kiedy rozwój esperanta zdawał się osiągać swój zenit, Komisja Współpracy Umysłowej przy Lidze Narodów pod przewodnictwem Bergsona (było to, jeżeli się nie mylę, w r. 1923) postanowiła, obradując nad zbliżeniem kulturalnym między narodami, nie zalecać żadnego języka sztucznego, a natomiast oświadczyła się za pogłębianiem znajomości żywych języków i literatur narodowych wielkich kultur nowoczesnych.

W tym samym w zasadzie kierunku wypowiedziała się ostatnio (w roku bieżącym) połączona Komisja „London International Assembly" i „Council for Education in World Citizenship". Obie te poważne organizacje międzynarodowe, skupiające w sobie przedstawicieli świata politycznego, naukowego i pedagogicznego, wyłoniły wspólną komisję, pod przewodnictwem prof. dr. Gilberta Murray'a, mającą opracować tezy w sprawie roli wychowania, oświaty i nauki w powojennej odbudowie świata. Tezy te zostały uchwalone i ogłoszone w publikacji pt. „Education and the United Nations" (1943). W rozdziale III, zajmującym się „Wychowaniem jako podstawą systemu powojennego" znajduje się ustęp (4) poświęcony językowi pomocniczemu (str. 40). Czytamy tam:

„...uważamy za rzecz niezmiernie ważną, żeby wszystkie narody — przynajmniej europejskie — były zdolne, w możliwie najszerszej mierze, używać jakiegoś wspólnego języka. Wzięliśmy

pod uwagę upadek nauczania łaciny, która kiedyś służyła jako środek porozumiewania się między wszystkimi wykształconymi ludźmi w Europie, dalej stanowisko francuszczyzny, jako europejskiej „langue de culture” po upadku łaciny, wreszcie rosnące użycie angielszczyzny jako języka międzynarodowego wśród obywateli Narodów Sprzymierzonych w czasie obecnej wojny. Zalecamy wszystkim Rządom: 1) wybór jakiegoś pomocniczego środka porozumiewania się, 2) spowodowanie, by przynajmniej we wszystkich europejskich krajach, włącznie z Niemcami, nauka jego była w należyty sposób udzielana całej młodzieży szkolnej, zupełnie niezależnie od nauki innych języków.

„Wypada nam nadmienić, że większość niebrytyjskich członków Komisji wypowiedziała się za przyjęciem języka angielskiego jako najodpowiedniejszego pomocniczego środka porozumiewania się. Jednakże wobec faktu, że jest to kwestia skomplikowana ze względów zarówno lingwistycznych jak i politycznych, Komisja proponuje dalsze badanie tego problemu i odroczenie ostatecznego zalecenia, jeżeli chodzi o wybór pomocniczego środka porozumiewania się.”

Z powyższej rezolucji wynika: 1) że jej autorzy uważają przyjęcie jakiegoś języka międzynarodowego za nieodzowne; 2) że nie zalecają żadnego „języka” sztucznego, jakkolwiek użyty w uchwale termin „pomocniczy środek porozumiewania się” nie wyklucza takiego rozwiązania; 3) że wypowiadają się stosunkowo najwyraźniej za uznaniem jakiegoś żywego języka nowoczesnego jako międzynarodowego, chociaż zdają sobie sprawę z trudności, jakie nastręczałby wybór takiego języka. O trudnościach tych wspomniałem już wyżej.

O wiele wyraźniejsze stanowisko zajęło inne poważne ciało międzynarodowe. Dnia 15 czerwca 1942 londyński Rotary Club (Rotary International) zwołał konferencję, na której było reprezentowanych 10 rządów sprzymierzonych (wśród nich polski) w charakterze członków i 10 w charakterze obserwatorów, nie licząc kilkunastu organizacyj społecznych (młodzieżowych, pedagogicznych i ogólnokulturalnych) brytyjskich i międzynarodowych. Konferencja była poświęcona sprawie wymiany młodzieży i pomocniczego języka uniwersalnego. Uchwaliła ona m.in., „że w celu ułatwienia wymiany młodzieży wszystkich narodów i usunięcia barier językowych, należy w programach wszystkich szkół wyższych niż powszechne zamieścić naukę języka pomocniczego ogólnie przyjętego”.

Wyłoniona przez konferencję komisja, mająca dokładniej opracować ten program, rozszerzyła jego założenia. Uznała mianowicie, że język uniwersalny ma znaczenie nie tylko dla międzynarodowej wymiany młodzieży, ale również dla stosunków kulturalno-naukowych, gospodarczych i dyplomatycznych między państwami. Zalecenia komisji są następujące:

1) Język angielski winien stać się językiem pomocniczym, nauczanym w szkołach powszechnych, z wyjątkiem krajów anglosaskich, gdzie przedmiotem nauczania w szkołach powszechnych winien być język francuski.

2) Wobec faktu, że język angielski i francuski są głównymi językami pomocniczymi, winne one być nauczane w szkołach wyższych niż powszechne.

3) Nauczanie powyższych języków jako pomocniczych nie powinno bynajmniej wykluczać nauczania innych języków.

W sprawie języka sztucznego postanowiono go nie zalecać, gdyż nauka jego obciążyłaby zbytnio programy szkolne, skoro język taki — ze względów technicznych, kulturalnych i praktycznych — nie mógłby w żadnym razie zastąpić angielszczyzny czy francuszczyzny. Stwierdzono również zasadę, że do użytku uniwersalnego najpraktyczniejszy jest język żywy.

W uwagach do powyższych uchwał i zaleceń to samo ciało międzynarodowe podkreśliło, że przyjęcie języka światowego ma znaczenie dla trzech dziedzin w stosunkach międzypaństwowych: handlowej, dyplomatycznej i naukowej. W stosunkach handlowych język angielski już dzisiaj króluje ze względu na najwyższy potencjał ekonomiczny krajów anglosaskich i ich panowanie na morzach. W dyplomacji, równouprawnienie z tradycyjną dotychczas francuszczyzną zdobył w ostatnich dziesiątkach lat język angielski i odtąd oba te języki będą na tym polu jednakowo uprzywilejowane. Ta sama sytuacja da się stwierdzić w międzynarodowych stosunkach naukowych, mimo oporu Niemców i Włochów, żądających równouprawnienia ich języków.

Widzimy więc, że stanowisko, zajęte przez konferencję zwołaną przez Rotary Club, jest daleko bardziej skrystalizowane od rezolucji Komisji „London International Assembly" i „Council for Education in World Citizenship", która wobec trudności wyboru języka międzynarodowego nie zaleciła ostatecznie żadnego. Konferencja Rotary Club'u, odrzuciwszy słusznie twory sztuczne, wypowiedziała się za umiędzynarodowieniem języka żywego, ale ze zrozumiałych względów politycznych nie mogła się zdecydować na j e d e n język, co jest w tym wypadku warunkiem niezbędnym. Zaleciła więc dwa języki, angielski i francuski, jako międzynarodowe, czyli sprawę rozwiązała w najlepszym razie połowicznie.

Do analogicznych wyników doszedł wreszcie ostatnio Komitet Ministrów Oświecenia Rządów Sojuszniczych w Londynie. Uznał oba wyżej wspomniane języki za międzynarodowe, ale ograniczył się tylko do sprzymierzonych państw europejskich, widocznie ze względu na rządy, które reprezentował. Rezolucja, jaka zapadła, ma poza tym jedynie charakter zalecenia, a mianowicie:

1) by języki angielski lub francuski zostały wprowadzone, jako przedmioty obowiązkowe, do wyższych klas szkół powszechnych europejskich krajów sojuszniczych;

2) by nauka języka angielskiego była udzielana możliwie jak najintensywniej we wszystkich szkołach, a to ze względu na rolę, jaką język ten odegra w powojennych stosunkach międzynarodowych;

3) by wszystkie wydawnictwa przeznaczone dla publiczności międzynarodowej redagowano albo po angielsku względnie po francusku, albo zaopatrywano w streszczenia w tych językach;

4) by europejskie rządy sprzymierzone wpłynęły na rządy narodów, używających języka angielskiego, w kierunku wprowadzenia języka francuskiego do ich szkół powszechnych, a to celem realizacji współpracy międzynarodowej.

Widzimy więc, że rozwiązanie problemu języka powszechnego upatrywane jest coraz bardziej w sensie dwujęzyczności.

Wypada tu przypomnieć pewne doświadczenie z niedawnych czasów. Sprawa języka międzynarodowego wystąpiła w całej swej doniosłości, gdy po ostatniej wojnie światowej zwycięska

Koalicja miała ustalać warunki pokojowe. Prymat francuszczyzny skończył się, mocarstwa anglosaskie zażądały równouprawnienia angielszczyzny. Ostatecznie Traktat Wersalski był dwujęzyczny, otrzymując teksty angielski i francuski. Doprowadziło to w rezultacie do nieporozumień, gdyż interpretacja prawna jednego tekstu różniła się w pewnych wypadkach od wykładni drugiego. Jest tu pouczająca przestroga dla dzisiejszych zwolenników dwujęzyczności.

Cała sprawa wygląda zatem niezbyt obiecująco. Dla uzupełnienia obrazu warto może wskazać na jeszcze jeden projekt wyjścia z impasu, wysuwany w wielu krajach przed wojną. Rozumowano, że skoro żaden „język" sztuczny nie jest do przyjęcia z zasadniczych względów kulturalnych, a umiędzynarodowienie jakiejkolwiek żywej mowy współczesnej napotyka na nieprzezwyciężone trudności z powodu rywalizacji i ambicji poszczególnych narodów, tedy należy wybrać język organiczny, oparty na jakiejś kulturze, który by jednak nie był językiem żadnego narodu dzisiejszego. Te warunki spełnia łacina, która zresztą aż do XVIII wieku była normalnym środkiem porozumiewania się narodów europejskich nie tylko w stosunkach polityczno-dyplomatycznych i kulturalno-naukowych, lecz nawet towarzyskich, nie mówiąc już o Kościele rzymsko-katolickim. W Polsce tradycja ta była szczególnie żywa ze względu na łacińskie podstawy naszej kultury. Ruch w kierunku przywrócenia łacinie jej charakteru międzynarodowego wyraził się w odpowiednich organizacjach krajów Europy i Ameryki. Powstały czasopisma łacińskie. W Polsce zawiązało się w r. 1933 Towarzystwo Umiędzynarodowienia Łaciny, wydające swój własny organ w tym języku („Lygia"). Należy zaznaczyć, że do organizacji tej należeli nie tylko filologowie, lecz ludzie najrozmaitszych zawodów: dziennikarze, adwokaci, lekarze, literaci, urzędnicy itd. Natomiast liczni filologowie-klasycy odnosili się do tego ruchu niechętnie, obawiając się zwulgaryzowania łaciny w użyciu praktycznym.

Głównym argumentem przeciwników umiędzynarodowienia łaciny jest opinia, że starożytny ten język nie potrafi wyrażać pojęć nowoczesnych. Należy stwierdzić obiektywnie, że pogląd ten jest nieuzasadniony. Wystarczy przypomnieć encykliki papieskie, omawiające po łacinie najzupełniej współczesne zagadnienia, jak kwestia socjalna, problem małżeństwa itd. Wpadło mi tu przypadkiem w ręce kilka numerów warszawskiej „Lygii", gdzie od artykułu wstępnego i felietonów w rozmaitych sprawach, związanych z kulturą współczesną, aż po recenzje teatralne i filmowe oraz... sprawozdanie z zawodów piłki nożnej — wszystko było w języku łacińskim. Nic dziwnego. Przecież właśnie wyrazy, oznaczające pojęcia najbardziej nowoczesne, są utworzone z pierwiastków łacińskich lub greckich („radio", „telefon" itp.). Wyrazy te bynajmniej czystości łaciny nie skażą, przy zachowaniu poprawnej składni i stylu. Ani Cicero ani Rej nie wiedzieli, co to samolot, kino, kryzys parlamentaryzmu, kubizm czy monopol tytoniowy. Dzisiejszy język polski, przyjmując te wyrazy, nie stał się mniej polski od języka Reja. Tak samo ma się rzecz z nowoczesną łaciną.

Oczywiście trudności są tu olbrzymie, choć innego rodzaju. Do mniejszych należy sprawa ujednostajnienia wymowy łaciny w różnych krajach, co już zresztą zostało częściowo dokonane w Kościele katolickim. O wiele trudniejszym warunkiem byłaby

reforma nauczania tego języka w szkołach, przystosowana do celu umiędzynarodowienia łaciny (metoda bezpośrednia). Najważniejszą jednak przeszkodą, o którą — obawiam się — rozbije się cała sprawa, jest uprzedzenie współczesnej epoki do języka poczytywanego za martwy. Przezwyciężenie tej predyspozycji psychicznej byłoby dzisiaj niezmiernie trudne. Trzeba by jakiegoś nowego potężnego prądu, który by przeszedł przez Europę i nie tylko Europę, jakiegoś nowego Renesansu i Humanizmu, o jakim marzył w Polsce Tadeusz Zieliński.

Są wprawdzie ludzie uparci, którzy twierdzą, że to, co jest bardzo trudne, jest zawsze łatwiejsze od tego, co jest niemożliwe (a umiędzynarodowienie języka współczesnego uważają właśnie za niemożliwe). Ale to nie może osłabić naszego sceptycyzmu.

W rezultacie więc obecny stan rzeczy jest taki, że wszyscy uznają palącą potrzebę i niezbędność przyjęcia języka międzynarodowego. Ale wybór tego języka jest ciągle wielką niewiadomą. Na ogół koncepcja zaakceptowania żywego języka współczesnego przeważa. Jest jednak mało prawdopodobne, by po wojnie zgodzono się w całym świecie na jeden taki język. I jeżeli wolno bawić się w przewidywania, będzie zapewne tak: angielszczyzna będzie miała w stosunkach międzynarodowych przewagę, ale nie będzie językiem uniwersalnym w pełnym tego słowa znaczeniu, gdyż nie wszystkie narody zechcą go za taki język uznać.

PRZYRODZONE PRAWA CZŁOWIEKA

Dawne warunki życia ustępują miejsca nowym warunkom i nie ma od tych zmian ucieczki. Odkrycia i wynalazki naukowe całkowicie przeobraziły świat i jeśli nie przystosujemy się do nowych okoliczności znaleźć się możemy w obliczu olbrzymiej a może nawet ostatecznej katastrofy.

Zmiany te mają dwie główne cechy. Jedną określa się często jako „zniesienie przestrzeni". Człowiek może dziś odbyć podróż dookoła świata szybciej aniżeli sto lat temu z Paryża do Rzymu, a radio w tej samej chwili gdy człowiek przemawia roznosi jego głos na krańce świata. Co więcej, wzrost sił mechanicznych jest tak gigantyczny, wyzwolenie energii tak wielkie, że ludzie mogą współdziałać ze sobą bądź też ujarzmiać i prześladować się wzajemnie na skalę dotychczas nieznaną. W jednej cztero tonowej bombie zawarty jest większy ładunek energii aniżeli trzeba jej było w osiemnastym wieku dla utrzymania przez tydzień całego życia i pracy Paryża. Przeszłość człowieka to stulecia niedostatku. Teraźniejszość to tragedia pomyłek. Posiada dziś człowiek pełnię sił i środków dla zapewnienia powszechnej obfitości i dobrobytu przekraczającego marzenia dawniejszych stuleci, a traci to wszystko dla celów zniszczenia. Wojna obecna nie jest początkiem tego stanu rzeczy i nie będzie jego końcem. Krwawa rzeź obecna, niedostatek coraz większy i nędza nie znikną, dopóki wszyscy ludzie na świecie nie porozumieją się by im kres położyć. Samo zwycięstwo jednego mocarstwa nad drugim nie zakończy niczego, jeśli nie

przezwyciężymy mrocznych tradycyj przekazanych nam przez przeszłość.

Co się winno zakończyć a co rozpocząć jeśli nadzieja nasza ma się urzeczywistnić? Zakończyć się musi, po krótce mówiąc, współzawodnictwo w dążeniu do przewagi nad bliźnimi, a nie współzawodnictwo w zaszczytach i przywilejach służenia ludzkości. Skończyć się musi współzawodnictwo w walce o panowanie, współzawodnictwo w handlu, współzawodnictwo między państwami i narodami, między społeczeństwami, które wyobrażają sobie że są szczególnie uprzywilejowane i wyniesione nad inne. Obecna wojna jest w znacznej mierze wywołana chorobliwym złudzeniem gromady ludzi mówiących po niemiecku, którym się wydało że są Narodem Wybranym. Nie są oni pierwszym narodem, który uległ podobnemu złudzeniu, ale być może są oni ostatnim. Nie tracimy co do tego nadziei. Nigdy przecież dotąd nie wydawało się żadnemu napastniczemu narodowi, że może zapanować nad całą planetą. Ta walka zbrojna jest tylko jednym z wyników wielkiego nieszczęścia jakie sprowadziło na ludzkość współzawodnictwo w osiąganiu zysków w nowych i zmienionych warunkach. Współzawodnictwo handlowe, zbrojne w nowe możliwości doprowadziło do monopolów światowych, dławiących wszelką swobodną inicjatywę.

Groźba połączonej tyranii politycznej i ekonomicznej nie była jeszcze nigdy dla gatunku ludzkiego tak przerażająca.

Cóż więc należy uczynić? Znamy pewne precedensy. Czy przydadzą się nam w obecnym kryzysie?

W demokratycznych krajach świata istnieje odwieczna tradycja, że wszelki wzrost i centralizacja władzy były odpierane zdecydowaną i energiczną obroną indywidualnych praw człowieka. Od wielu pokoleń w krajach tych istniał zwyczaj ogłaszania indywidualnych deklaracyj głoszących prawa do wolności. Historyk będzie miał w pamięci szereg tego rodzaju dokumentów, mniej lub więcej przekonywujących, poczynając od polskiego Neminem Captivabimus, angielskiej Magna Charta i różnych odmian Petycji i Ksiąg Praw, Amerykańskiej Deklaracji Niepodległości, francuskiej Droits de L'Homme aż do Karty Atlantyckiej naszych czasów. Wszystkie one spełniły swój cel w służbie wolności. Dziś jednak, w obliczu większej koncentracji władzy aniżeli to było możliwe kiedykolwiek przedtem, trzeba tym bardziej wzmocnić, usprawnić i upowszechnić ochronę życia jednostki.

Coraz więcej ludzi na świecie dochodzi do przekonania, że trzeba czegoś więcej, aniżeli wielkich obietnic i zapewnień. Domagają się oni praw i gwarancji. Domagają się, by wszędzie w jednoczącym się, otwierającym się przed nami świecie fundamentalnym prawem społecznym były przyrodzone i powszechne Prawa Człowieka. Te prawa do których ludzie stosują się z natury i z konieczności. I po wielu wysiłkach i dyskusjach, opracowano te prawa, które staną się ochroną jednostki przed wszelką próbą ujarzmienia. W swej ostatecznej formie te podstawowe prawa muszą być zastosowane do każdego człowieka niezależnie od koloru jego skóry, narodowości i pochodzenia, w każdej części świata, jeśli wolność nasza ma być zabezpieczona. Prawa te głoszą:

1. Prawo do życia.

Człowiek każdy posiada prawa określone w niniejszej Deklaracji. Każdy jest współwłaścicielem świata i dziedzicem wszelkich dóbr ziemi i morza, wiedzy, wynalazków, energii i możliwości. Jest dzieckiem ludzkości i ma równe prawo do pożywienia, odzieży, opieki lekarskiej jak i do wszystkiego co sam przyniósł światu od urodzenia swego aż do zgonu. Ludzie różnią się znacznie między sobą, przed prawem są równi.

2. Ochrona nieletnich.

Przyrodzoną ochroną nieletnich jest rodzina. Jeśli dziecko pozbawione jest ochrony, obowiązek ten przechodzi na społeczeństwo. Możność brania pełnego udziału w życiu społecznym jednoznaczna jest z pojęciem pełnoletności.

3. Wolność Pracy.

Człowiek każdy musi w miarę swej możności ochraniać prawa każdego innego człowieka. Żaden człowiek nie może być zmuszany do pracy. Jeśli nie pracuje pozostaje pod ochroną jak nieletni. Ale społeczeństwo musi zapewnić mu odpowiednią pracę jeżeli jej zażąda. Jest to prawo każdego człowieka.

4. Prawo do zarobku.

Człowiek każdy ma prawo zarabiać pieniądze. *) Człowiek może zarabiać swą pracą tyle ile praca ta jest warta dla społeczeństwa lub tyle ile chęć posiadania owoców własnej pracy może mu przynieść. Może otrzymywać wynagrodzenie za zwrócenie uwagi na jakiś pomysł lub produkt i za dostarczenie go tym, którzy by inaczej z niego nie mogli korzystać. Jednak kupno, magazynowanie i sprzedaż dla zysku bez świadczeń jest bezprawne. Stanowi spekulację. Daje zyski przez stwarzanie niedostatku. Było to przekleństwem starego ginącego porządku. Zyski takie dają się osiągnąć jedynie przez zaskoczenie, przywłaszczenie, przechowywanie i inne tego rodzaju postępki. Są one równie bezprawne dla osób prywatnych jak i dla osób administracji publicznej.

5. Prawo do własności.

Człowiek może korzystać z godziwych zysków a społeczeństwo ma obowiązek zapewnić mu ochronę przed gwałtem i rabunkiem. Człowiek lub jego rodzina mogą posiadać mieszkanie prywatne odpowiednio ograniczonych rozmiarów, do którego dostęp możliwy jest tylko za zgodą właściciela, chyba, że wydany zostanie odpowiedni nakaz władzy sądowej.

6. Wolność poruszania się.

Człowiek każdy może na swój koszt podróżować gdziekol-

*) W naukowo zorganizowanym świecie równości może istnieć tylko jeden rodzaj pieniądza i jeden system miar i wag dla celów wymiany. Pieniądz jest po to by go wydawać nie aby go oszczędzać. Powinien być robiony z materiału nieposiadającego wartości własnej, musi być datowany, a po upływie piętnastu czy dwudziestu lat traciłby moc prawnego środka płatniczego.

wiek zechce. Jeśli nie narusza prywatnej własności jakiegokolwiek innego obywatela, nie uszkadza, nie zniekształca lub nie obciąża cudzej własności, nie utrudnia jej właściwego użytku, lub istotnie nie narusza spokoju i szczęścia innych, człowiek każdy ma prawo poruszać się swobodnie po lądzie, na morzu i w powietrzu, we wszystkich krajach, przez góry, rzeki, jeziora, morza i oceany tego świata który jest jego.

7. Prawo do wiedzy.

Człowiek każdy dla pełnego wykorzystania własnych możliwości ma prawo do nauki, informacji i wiadomości niezbędnych.

8. Człowiek każdy ma prawo do Wolności Myśli, Słowa i Wiary.

9. Wolność osobista.

Jest to pojęcie które w prawie angielskim i amerykańskim zwie się Habeas Corpus, a znane jest w Polsce jako Neminem Captivabimus.

O ile człowiek nie jest uznany przez powołaną władzę za niebezpiecznego dla siebie lub innych, na skutek obłędu, a orzeczenie takie musi być potwierdzone w ciągu siedmiu dni, a następnie rozważane ponownie co najmniej raz do roku, nie może być więziony dłużej niż 24 godzin bez oskarżenia o określone przestępstwo. Nikt nie może być więziony dłużej aniżeli trzy miesiące bez rozprawy. We właściwym czasie przed rozprawą więzień otrzymać musi odpis aktu oskarżenia. Po upływie trzech miesięcy, jeśli rozprawa się nie odbyła, winien być zwolniony i wypuszczony na wolność. Nikt nie może być oskarżony dwukrotnie o to samo przestępstwo. Tajne dowody przestępstwa nie są dopuszczalne. Zeznania w aktach administracyjnych nie mogą być przyjęte bez dowodu. Człowiek ma prawo do ochrony przed wszelkim fałszem, który może mu wyrządzić szkodę materialną lub moralną.

10. Wolność od gwałtu.

Nikt nie może być poddany jakiemukolwiek okaleczeniu bez swojej wyraźnej zgody, danej bez przymusu. Nikt nie może być poddany brutalnej przemocy, chyba dla zapobieżenia jego własnym gwałtom, nikt nie może być torturowany, bity lub męczony fizycznie. Nikt nie może być karany przez maltretowanie lub aresztowanie innych ludzi. Nikt nie może być więziony razem z ludźmi zarażonymi lub zawszonymi. Jeśli jednak człowiek zagraża zdrowiu innych, może być poddany myciu, dezynfekcji lub kwarantannie.

11. Prawa Człowieka leżą w jego naturze i nie mogą ulec zmianie. Rządy, kierownicy i urzędnicy, nie są niczym więcej aniżeli sługami tych praw.

W niektórych wypadkach ograniczenia są pożądane, jak np. w przepisach drogowych, ochronie przed fałszowaniem pieniędzy,

lub wytyczaniu ulic i dróg, i wreszcie w przepisach sanitarnych. Ale wszystkie tego rozaju drobne sprawy mogą być dyskutowane i zmieniane według uznania tych, którzy przeznaczeni są do strzeżenia naszych praw. Żadne jednak z praw wymienionych w poprzedzających 10 artykułach nie może ulec zmianie. Mianowanie strażników tych Praw winno być dokonywane zgodnie z obyczajami ludu, bądź to przez starszych, bądź też przez wybranych przedstawicieli, lub też w drodze wspólnych zebrań, przez losowanie, lub w inny sposób zgodny z obyczajami danego kraju.

Oto są powszechne prawa wszystkich ludzi. Są one twoje gdziekolwiek żyjesz. Obowiązują one twoje rządy, twych naczelników i urzędników. Obowiązują one nas wszystkich. Są to powszechne prawa nowego wolnego świata otwierającego się przed ludzkością.

Oto jak wyglądają dziś prawa człowieka — a domagając się tych praw wierzymy, że mogą się stać podstawą nowego i szczęśliwszego życia. Dopomóżcie nam w pracy. Propagujcie te idee i rozpowszechniajcie tę ulotkę. Zjednoczone Narody coraz bardziej zdają sobie sprawę z tego, że walczą o te prawa.

DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA pomieszczona w bieżącym numerze „Nowej Polski", opracowana została przez specjalną komisję z udziałem przedstawicieli Polski. Jest to próba nadania słynnej angielskiej deklaracji Sankeya-Wellsa charakteru międzynarodowego.

Wszelkie uwagi do komisji redakcyjnej czytelnicy łaskawi są kierować za pośrednictwem redakcji „N O W E J P O L S K I", 91, Great Titchfield Street, London, W.1.